

52218

**BRACIA
MORAWOZYCY**

DRAMAT WE 3^{ch} ARTACH

OZDOBIONY ŚPIEWEM I TAŃCAMI,

I

HRABIA I LISTY

KOMEDIJA W JEDNYM AKCIE

ORYGINALNIE NAPISANE

PRZEZ

EMILA DERYNG A. D.

Włkno

W Drukarni A. Dworca.

—
1849.

Drukować wolno z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby exemplarzy. — Wilno, 20 Września 1847 roku.

Spr. Obow. Cenz. Radzica Dworu i Kaw.

A. MUCHIN.

443 313-
- 443 316



K. 1598/42

PRÓBY
DRAMATYCZNE.

1800

W. H. B. & C.

BRACIA

MORAWCZYCY

DRAMAT WE 3-ch ARTACH.

443 313



O S O B Y.

RODOLF HOLLDENSZTERN, Szwed zostający na dworze
Zygmunta.

AGNIESZKA RAWICZ z domu Raclawskich,

MIŁOSZ.

LUDWIK.

HERONIM.

KURDOSZ.

} Dworzanie Rodolfa,

GONIEC z WARSZAWY.

BOGUMIŁ, przełożony Braci Morawczyków.

LUDMIR.

KATARZYNA.

ELIZA.

BRONISŁAWA.

ZDZISŁAW.

ADOLF.

JOHAN.

ANDRZÉJ.

MARTA.

} Morawczycy, zwani Hern-butęrs.

Slużba Rodolfa — Bracia Morawczycy, Kobięty —
Dzieci.

Scena w Akcie pierwszym w Zamku Radziław-
skich, — w 2-gim i 3-cim w Morawii. Międy pier-
wszym a drugim Aktem upływa kilka miesięcy, — po-
międy 2-gim a 3-cim, lat 18-cie.

1880

Uwaga dla Artystów: Rodolf i cały Dwór jego przybrani w kostium Szwedzki z Hiszpańska, jeden tylko Miłosz w skromnym żupanie, bez karabeli. — Agnieszki kostium z czasów Zygmunta. Bracia Morawczycy w długich ciemnych surdutach, kapelusze z szerokimi rądami, pasy mniej więcej ciemne. Kobięty zamężne w sukniach długich, ciemnej barwy niebieskiej; czepce białe z szerokim obszyciem. Dziewczęta ubrane krótko, w białych sukienkach, pasy różowe, włosy we dwa war-kocze. Agnieszka w Akcie 3-cim w sukni czarnej.

NB. Bronisława w 1-szym i 2-gim Akcie, dziecię od lat 3-ich. Zdzisław i Adolf w Akcie 2-gim, dziećmi od lat 5-ciu.

AKT PIĘRWSZY.

Teatr przedstawia Komnatę w stylu Gotyckim, na ścianach portrety przodków. Wgłębi drzwi główne, dwoje bocznych, po lewój stronie okno; dwa wielkie kufry przyparte do ścian dekoracji, na podłodze kobierce. W pośrodku stół dębowy, tak jednak ustawiony, aby nie przeszkadzał grającym; na nim dzbany, pułhary, różne potrawy i szklanki. Z boku mały stolicek, gdzie niegdzie ławy.

SCENA 1.

(Słuchać okropną wrzawę i głosy za sceną: „Sromota! zakał! kalumnija!“ Jedni piją i jedzą przy stole, drudzy stawiają opór we drzwiach chcącym wejść. Rodolf i Agnieszka stoją przy oknie, piérwszy: gwałtem ją przytrzymuje).

AGNIESZKA.

Niewierzcie bracia, to fałsz!

GŁOSY.

Precz z nią, precz! sromota!...

R O D O L F.

Ha, ha, ha! Kochanko mojej duszy, czy zrozumiałaś mnie teraz?

A G N I E S Z K A.

Puszczaj mnie! puszczaj! Wszechmocny Boże! i oni temu wierzą! (*ucieka do drzwi na prawo*).

R O D O L F.

Mili bracia! podajcie rękę zgody, a chętnie zaprosiemy was na naszą biesiadę.

G Ł O S Y.

Nigdy! nigdy!... zbrodnia! bezwstyd!...

R O D O L F.

A więc, wiara! rozpędzić te chałastę! dalej! kto żyw!... (*wybiega, za nim inni — hałas coraz większy powstaje, niekiedy dochodzą głosy: „Vivat! niech żyje nasz starosta! i t. p.”*).

S C E N A 2.

HERONIM-LUDWIK.

HERONIM.

Wiész Ludwiku, że to nie bardzo miłe przyjęcie, a doradzałem dostojnemu Panu, aby lepiej jeszcze czas jakiś posiedział w Warszawie, a tę turkaweczkę, panią ex-Posłową wygnał z Zamku na cztery wiatry.

LUDWIK.

Ba! naszemu Panu jeżeli co wylęgnie się w głowie, ani podobna przepześć, krzyknie: „jasne pioruny! ja tak chcę!” i skończona sprawa.

HERONIM.

Ale ja mam prawo robić mu uwagi, od chłopięcia zostawałem na dworze jego ojca, przecież mógłby posłuchać wiernego sługę.

LUDWIK.

Toć my wszyscy, całém sercem do niego przywiązani, każdy z nas to samo śpiewał; ale cóż począć z dostojnym Panem, kiedy w gorącej wodzie kąpany, i kiedy kto go rozgniewa...

HERONIM.

Prawdę mówiąc, nie można się dziwić jego zawziętości na rodzinę Rawiczów, ależ do licha! we wszystkim miara być powinna.

LUDWIK.

A gdyby wam tak, jak jemu wydarto żonę, syna, pozbawiono dostatków i wygnano ze Szwecyi, niewiem czybyście umieli zachować miarę.

HERONIM.

Nie zaprzeczam, że ciężkie strapienia go opanowały, a to wszystko z łaski Rawicza. Jednak, kiedy znowu jesteśmy bogaci, kiedy gościmy w tym zamku jakby we własnym, a Rawicz tuła się tam, gdzieś po nad Bałtykiem, to powinno być dość odwetu.

LUDWIK.

Nikt nas niesłyszy, i mogę powiedzieć co myślę. Naszemu Panu nie tyle szło o dostatki, ile o dobre imię i małżonkę, którą musiał opuścić umierającą, o trzyletniego synka, którego Książę Sudermanii, bez względu na młodość, wydał na łup zdziczałego pospółstwa. Lud podburzony fałszywemi wieści, podpalił w Sztokholmie

pałac naszego Pana, i biedne dziecię zgorzało w płomieniach, a taki widok, rani serce ojcowskie,

HERONIM.

I wyście niepośpieszyli ratować jedynego potomka Holdenszternów? Gdzieżeś ty był, gdzie był ojciec? na Boga! Co do mnie, bez namysłu rzucił bym się w płomienie; razem z nim zginął, lub ocalał,

LUDWIK.

Tak się mówi; w téj okropnej chwili myśmy się znajdowali przy łożu umierającej Pani, i gdy jedni wynosili martwe jęj zwłoki, drudzy: własnymi piersiami zasłaniali ucieczkę Rodolfa, nikt niepomniał o małej dziecinie.

HERONIM.

O mój biedny Panie, dla czegoż ja wtenczas nieznajdowałem się przy was, — teraz pojmuję twoją zemstę,

LUDWIK.

Podziękujecie raczej Opatrzności, że wam oszczędziła okropnego widoku, przynajmniej zdołałeś ocalić część gotowizny, za której pomocą dostaliśmy się szczęśliwie do tego kraju.

HERONIM.

Lecz na licha! ujęliście żonę Rawicza, — niepotrzebny kłopot.

LUDWIK.

Zaraz wam wytlómaczę.

HERONIM.

Tylko się śpiesz, nasi za lada chwilę mogą powró-

cię, a wiesz jak gniewa Pana, kiedy słyszy opowiadanie nieszczęścia...

LUDWIK.

Znajome ci były poczęści zamiary Holdenszterna?

HERONIM.

Wiém, i nieraz ubolewałem nad jego zaślepieniem.

LUDWIK.

Otóż, nikt inny nieprzewidział, grożącej Szwecyi burzy, tylko jeden Rawicz; wszystkie więc nieszczęścia, jakie dom Holdenszternów dosięgły, jemu przypisać należy.

HERONIM.

I cóż to ma za związek z uwięzieniem żony Rawicza?

LUDWIK.

Kiedy już bezpieczny o swoje życie Rodolf, dowiedział się o śmierci ukochanej małżonki i syna, w pierwszej chwili wściekłość go ogarnęła, i ani lzy nasze, ani proźby przyjaciół, niepotrafiły wstrzymać szaleństwa. Nazajutrz w nocy powrócił do Sztokholmu, aby zabić Rawicza, zaledwie ja i Kurtosz uprosiliśmy, że będziemy mu towarzyszyć. Wpadamy do domu. Rawicz z dwojgiem dzieci znajdował jeszcze się na pokojach Księcia Sudermanii, zastaliśmy tylko żonę i uspięne sługi; bez myśli, bez celu, Rodolf porywa niewiastę, i za nim krzyk rozbudził śpiących dworzan, — już byliśmy daleko. Radość Pana była bez granic, to chciał zamordować niewiastę i dziecko, które w łonie swoim nosiła, to znowu pieścił się z nią i z największemi obchodził względy. Nakoniec, z całym dworem powróci-

liśmy szczęśliwie pomiędzy swoich; wkrótkim czasie Rodolf wyjednał u Zygmunta łaskę dla siebie. Dobra Rawiczów przeszły w jego własność, i Pani Rawicz powróciła do dawnej siedziby.

HERONIM.

I po-cóż ją zatrzymuje, to może nas narazić na nie-szczęście?

LUDWIK.

Rozgłosił, że dla niego zapomniała męża i dzieci. Wié on dobrze, że tym sposobem najwięcej dotknie Rawicza, bo to jest człowiek łatwo-wierny i skory do podejrzeń.

HERONIM.

Teraz rozumiem. Dla tego to od lat dwóch, tak pilnie strzeże jej w tym zamku, i publicznie rozgłasza jej niesławę. Ależ to okropnie! mścić się na kobiecie za występki męża. I po cóż teraz przybył do zamku?

LUDWIK.

Pragnie tu osiąść; — dowiedział się podobno, że Rawicz zginął na Duńskiej flocie.

HERONIM.

Jestże to pewna wiadomość?

LUDWIK.

Miłosz, ten nowo-przybyły dworzaniu tak utrzymuje, a starosta, chcąc się lepiej przekonać; posłał umyślnego w tamte strony, lada chwila oczekujemy wiadomości.

HERONIM.

Cyt, Miłosz się zbliża, wychodzi z pokojów Rawiczowej; zmienmy rozmowę, niemogę ścierpieć tego człowieka!

LUDWIK.

A jednak umiał zyskać łaskę starosty, kiedy mu powierzył straż nad Agnieszka.

HERONIM.

Powiedź raczój: umiał zyskać względy Marszałka, bo co do Pana, ten niewiem czy go widział dwa razy.

S C E N A 3.

CIŻ I MIŁOSZ.

MIŁOSZ. *(do siebie).*

I niechce mnie wysłuchać, próżne wszystkie starania.

LUDWIK.

Bracie! wasza turkaweczka co mówi o naszej instalacji?

MIŁOSZ. *(ponuro).*

Nic.

LUDWIK.

To tylko gbur tak odpowiada.

MIŁOSZ.

Być może.

LUDWIK.

Chodźmy zobaczyć dla czego nasi nie-wracają, — ten niemowa ani mówić, ani odpowiadać nie-umie; zdatny tylko na stróża bab i dziatwy. *(odchodzi z Heronimem).*

MIŁOSZ.

Dziękuję ci przyjacielu, *(zajęty inną myślą)* jakby ją zawiadomić?

S C E N A 4.

MIŁOSZ I AGNIESZKA.

AGNIESZKA. (*wie drzwiach*).

Zawiadom twojego Pana, że Agnieszka Rawicz, Pani tego zamku, pragnie z nim pomówić.

MIŁOSZ.

Dostojna Pani, chciiej zaczekać chwilkę.

AGNIESZKA. (*postępując na środek, — z żalem*).

Otóż to miejsce biesiady. W komnacie Radzisławskich, rozbukana czeladź i odgłos pijatyk!

MIŁOSZ.

Pani, gdybyś raczyła dozwolić powiedzieć...

AGNIESZKA.

Czego chcesz ode mnie, przedajny slugo!

MIŁOSZ.

Chcę ci oznajmić dostojna Pani, że odtąd zostawiono jej wolność opuszczenia zamku, i...

AGNIESZKA.

Czy myślisz, że ci uwierzę; i cóż mi przyjdzie z tej swobody, dokąd się udam; cała okoliczna szlachta, wszyscy pokrewni, widzieli mię dzisiaj w objęciach Rodolfa! Słyszałam ich krzyki i złorzeczenia!... Ja matka! ja, córka Radzisławskich; okryta bezwstydem, hanbą!... i nikt się niedomyśla prawdy, i nikt nieuwierzy w niewinność moją!

MIŁOSZ.

Dostojna Pani! jesteś nieszczęśliwą, to prawda.

AGNIESZKA.

Precz! Kto ci nadał prawo litować się nade mną? powiedz: że przychodzisz oznajmić mi wolę twojego Pana, w to uwierzę; ale niemów kłamliwemi usty, że się litujesz nademną, takie uczucie jest poniżeniem dla podobnej mnie kobiety.

MIŁOSZ.

Dostojna Pani, gdybyś raczyła wysłuchać kornéj mowy służalca, gdybyś dozwoliła...

AGNIESZKA.

Milcz! na Boga milcz! Słaba pleć moja, ale w nie-szczęściu i bialo-głowa nabiera mocy. Nauczyłam się rozeznawać fałsz od prawdy, a moja dusza przeczuwa, że złowrogi posłaniec, jakim ty jesteś, nic mi dobrego zwiastować niemoże.

MIŁOSZ.

Szlachetna Pani! przeczucie częstokroć nas zwodzi, ja nie jestem tym za kogo mnie bierzesz, — radzę więc, korzystaj z czasu; teraz jeszcze jesteśmy sami, mogę udzielić rady, mogę powiedzieć wyraźnie jaki istotny jest cel mego tu pobytu. Z dalekich stron przybywam, i...

AGNIESZKA.

Widzę w tobie służalca Rodolfa, i niemogę dać wiary twoim słowom; nieżadam, ani rady, ani litości; nie do ciebie zniży się córka Radziślawskich żebrać wsparcia i pomocy; tam, w oddaleniu, za mną, tam twoje miejsce.

MIŁOSZ.

Szlachetna Pani, dozwól...



AGNIESZKA.

Milcz, i słuchaj co powiem. Uwiadomisz twój Pana, że chcę się z nim widzieć, że na wypadek od mówienia memu żądaniu, potrafię użyć mojej swobody na jego zagładę. Oh! tak, niech przyjdzie ten możny Pan, a nieznajdzie we mnie lękliwą niewiastę, ale Matkę, Żonę Rawicza, dopominającą się wymiaru sprawiedliwości za doznane krzywdy! Kobieta, która chwilowo tylko ulega pod brzemieniem nieszczęścia, lecz zawsze silna wolą i umysłem, czeka sposobnej pory, aby rzucić się do stóp króla i opowiedzieć wasze gwałty i bezprawia! Idź, oznajm twójemu Panu, że może przybyć, nieuleknę się jego widoku, w siedzibie przodków moich, chociaż uciśniona, godnie go przyjąć potrafię. (*chce odejść*).

MIŁOSZ.

Pani! Pani! tylko słowo.

AGNIESZKA. (*dumnie*).

Spełń mój rozkaz, slyszales? oczekuję na twego Pana w przyległej komnacie. (*odchodzi*).

SCENA 5.

MIŁOSZ (*sam*).

Ani podobna wyzebrać posłuchania — i cóż doniosę braciom z mego posłannictwa. Ha! jedyny jeszcze pozostał mi środek, wręcę Agnieszce to pismo, z niego się dowie, gdzie po wyjściu z Zamku udać się powinna. (*słychać wrzawę i śpiewy*). Ach! to Rodolf powraca, usuńmy się na stronę. Wszchemocny Boże! dodaj mi siły, abym spełnił rozkazy braci moich.

S C E N A 6.

MIŁOSZ, RODOLF, KURDOSZ, LUDWIK, HERONIM i inni.

RODOLF (*jeszcze za sceną*).

Hulaj wiaro! Jasne pioruny! niezły mieliśmy bankiet!

G Ł O S Y.

Wiwat! nasz Starosta wiwat! Niech żyje Jasny Pan!

RODOLF.

Wesoło! za mną! każdemu z naszych zupełna swoboda!

G Ł O S Y.

Niech żyje Jasny Pan!

MIŁOSZ (*ns.*).

Stwórco świata! ulituj się nad biedną niewiastą.

KURDOSZ (*dopadając okna*).

Niech tam Dytrych, z mozdierza wypali na wiwat!

RODOLF.

Dobrze, dobrze! bo teraz właśnie życie się rozpoczyna! Podczaszy nalewaj! Vita brevis! Niech co żywo znoszą potrawy. Héj! słyszycie! nikomu smuć się niewolno! rozlewajcie wino! *Aqua-Vitae*, miód, piwo, cały tydzień wszystkim i wszystko wolno spożywać. Héj! ty trutniu, co tam stoisz w kącie, czegożeś nos zwiesił?

MIŁOSZ.

Dostojny Panie...

RODOLF.

Podczaszy! podaj mi pełną czarę tokaju.

(*Słychać wystrzał*).

KURDOSZ.

Cześć naszemu Staroście!

W S Z Y S C Y.

Niech żyje!

R O D O L F.

Śpiewajcie co, la, la, la, la! héj! Kapela niech za-
grzmi skoczego, Jasne pioruny! Kiedy niemogłem zna-
leść wesolój kompanij, potrafię i sam się rozweselić.
(*Będące na scenie Grajki, wykonywają starego Polo-
neza; pomiędzy kapelą spostrzegac się dają po większej
części: żydzi, cyganie.*)

KURDOSZ (do Okna).

Dajcie jeszcze kilka wystrzałów!

R O D O L F.

Cóż to nie śpiewacie, jasne pioruny! Ja chcę żeby
było wesolo! (*Śpiewa piérwszy.*)

W górę czara, w górę!

Rozjaśnijmy czoło!

Ja chcę żyć wesolo!

W górę czara, w górę!

W S Z Y S C Y (*powtarzają.*)

Rozjaśnijmy czoło!

W górę czara, w górę!

M I Ł O S Z.

Dostojny Panie! pozwól sobie przelożyć, że jakos
wesolość nie idzie.

R O D O L F.

Waszmości w tém wina. Mało jeszcze pili, stoły
nie gęsto zastawiono, jasne pioruny! źle mnie przyjmu-

jecie w nowej siedzibie, (*uderzając ręką w stół z całej mocy*). Bawcie się; to złoto do was należy, (*rozzraca pieniądze na stole*). Pijcie co kto może, (*staje z puha-rem w rękę przed portretem Rawicza*). Przebaczcie szanowne Antenaty, że waszemi zbiory uczczę moje wierne sługi i pierwszą czarę wzniosę za pamięć waszą! (*pije - inni czynią podobnie*). Ha, ha, ha! wyborny mieliście tokaj, gładko przemyka się po gardle. Dalej, omne trinum perfectum, (*do Grajków*). Cicho dudziarze, dosyć tych trenów, ja chcę innego śpiewu. Héj! jest kto, coby mi zanucił śpiew z Ossjana?

KURDOSZ.

Heronimie! dalej bawić Pana.

RODOLF.

Śpiewa jak duda przedęta; niech kto inny go zastąpi.

LUDWIK.

A więc wy Miłoszu.

RODOLF.

Niech długo nie-czekam! (*siada w krześle. Podczaszy stawia przed nim stolik, na nim ogromny puhar*).

KURDOSZ.

Toć się Waść niewzdragaj, (*zamyka okno*).

HERONIM.

Niepsujcież humoru Panu, waszemi korowody.

RODOLF.

Jasne pioruny! czyż chcecie abym zasnął!

KURDOSZ.

Już dostojny Panie Miłosz zaczyna.

R O D O L F.

Miłosz? a! — no śpiewaj; później pomówiemy ze sobą.

M I Ł O S Z (ns:).

Ojcze ludów dodaj mi siły.

Ś P I E W.

Niegdyś na Świętej Żmujdzi,
Wznosił się Zamek wspaniały;
Dziedzic możny, kochał ludzi,
Tak, jak jego, naród cały.
Czas ulatał wdzięcznie, mile,
Aż do dnia co szczęście spłoszy; —
I płynęły błogie chwile,
Wśród miłości, wśród rokoszy!

Wszystko marne w tym padole;
Nastąpiła wielka zmiana,
I w spokojném, niegdyś siole,
Dzisiaj huczy ćma pijana!
Huczy, burzy, wre i szumi;
Dawny dziedzic marnie ginie, —
Gawiedź, łkania wdowy tłumi,
Wykrzykując w jój dziedzinie!...

R O D O L F (*zrywając się w gniewie, porywa go za gardło*).

Jasne pioruny! kto cię nauczył śpiewać w ten sposób!

M I Ł O S Z.

Dostojny Panie! racz przebaczyć, wybrałem śpiewkę, jaką...

R O D O L F.

Pojmuję... rzecz jasna; oddalcie się wszyscy, chcę zostać sam z tym człowiekiem. (*Wszyscy odchodzą*).

MIŁOSZ (ns:).

Dla czegoż fałsz tak trudnym jest dla mnie, — mogę zginać i niedopełnić woli braci moich.

S C E N A 7.

RODOLF, MIŁOSZ.

RODOLF.

Kto ty jesteś? oddawna moje podejrzenie pada na ciebie, nie jesteś mi przychylnym.

MIŁOSZ.

Miłosz, moje miano, a że oddawna jestem znanym na dworze Waszój Wysokości, to dowodzi posłannictwo, którym Kurdosz mnie uzacnił, rozkazując przodem tu przybyć i wszystko przygotować na przyjęcie waszój Wysokości.

RODOLF.

A więc to ty, widziałeś się z Agnieszką? I ty, a nie kto inny uwiadomiłeś sąsiadów o jej tu pobycie.

MIŁOSZ.

Wypełniłem rozkaz Heronima, on to bowiem rozkazał ściągnąć wartowników, i dozwolił chodzić wolno niewieście, mówiąc: że taki jest rozkaz Waszój Wysokości.

RODOLF.

Tak jest, taki mój rozkaz, już więc więcej niepotrzebuję jej tutaj pobytu; ale kto ci dozwolił uwiadomić postronną szlachtę, że ona nie własnej woli tutaj przebywa, ale zmusu i więziona, Jasne pioruny! odpowiesz mi głową przemądry śpiewaku, za wszystkie knowane zdrady twoje! Kurdosz oddawna daje na waszeci baczenie, i widzi co się święci. Wkręciłeś się do mego

dworu, aby mnie śledzić, aby rozsiewać wieści po świecie, zaczekaj ptaszku, nie tobie uwiesić podobnego mnie człowieka. Hola! héj!

MIŁOSZ.

Panie! łaski!... (ns.) zginałem!

RODOLF (*wypijając wino*).

Ja tu Pan, ja dziedzic, i zemsta moja odpowiednia występкови; nikt bezkarnie nieskrzywdził jeszcze Rodolfa Holdenszterna! Tobie ten raz przebaczam, w zawieszeniu kara; ale biada! jeżeli dostrzegę najmniejszy cień zdrady!

S C E N A 3.

CIŻ, KURDOSZ, HERONIM I MIŁOSZ.

KURDOSZ.

Panie! szlachta konno i tłumnie powraca, chcą się naocznie przekonać, czy Agnieszka tak dalece zapomniała o mężu, że z wami biesiaduje.

RODOLF.

Dla czegoż nieweszli, kiedym ich zapraszał! Teraz zmieniłem zdanie, za wrota zuchwalców przepędzić, jasne pioruny! Cóż to, czyliż raz jeszcze chcą się mierzyć ze mną?.. Wiara! szumnie i ochoczo, krzyknijcie wiwat! albo... gdzież są ci ludzie?

KURDOSZ.

Stoją przed zamkiem, dostojny Panie.

HERONIM.

Z tego okna łatwo ich dostrzedź można.

R O D O L F.

A więc niech widzą naocznie; niewpuszczajcie ich jednakże na górę, a zemsta moja, będzie zupełną! (*przystępuje do okna i silnem uderzeniem wytlacza je, brzęk potłuczonego szkła słychać w oddaleniu, Kurdosz przysuwa bliżej świeczniki.*)

M I Ł O S Z (ns.)

Cóż on zamierza?

W S Z Y S C Y.

Wiwat!

R O D O L F.

Panowie bracia! Kiedy niechcieliście wyświadczyć mi sukcesu, abym powitał was w progu nowej dziedziny; pozwólcie, że w oddaleniu spełnię czarę naszej koligacyi.

G Ł O S Y (*za sceną*).

My nie jesteśmy waszą bracią.

R O D O L F.

Jasne pioruny! zobaczemy to!

G Ł O S Y.

Agnieszka! Agnieszka! gdzie ona?...

R O D O L F.

Widzieliście ją czerstwą i zdrową, a stale, całym affektem do nas przywiązaną.

G Ł O S Y.

Fałsz! kłamstwo! kalumnija.

R O D O L F.

Prawda! jasne pioruny! ja tak chcę! tak być musi! (*idzie do drzwi na lewo i silnem uderzeniem wypiera takowe*).

S C E N A 9.

CIŻ I AGNIESZKA.

GŁOSY (za sceną).

Rozpustna kobieta! bez czci, bez wiary!

RODOLF (szydlerczo).

Pozdrawiam cię szlachetna Pani w imieniu jęj małżonka i chcięj wybaczyć zarazem, że w naszej nowej siedzibie, niemogę was przyjąć tak okazale, jak tego wymaga wasz stan i urodzenie.

AGNIESZKA. (*Stoi z założonemi rękoma, oczy nieruchome — niezdolna słowa przemówić.*)

KURDOSZ.

Pijemy za zdrowie wasze! Kapela niech urznie drabanta. Héj! żywo! wesoło!

MIŁOSZ (ns.)

Jakby zbliżyć się do nięj. (*Kapela zaczyna grać*)

RODOLF (*wybuchając śmiechem*).

Ha, ha, ha! Brawo Kurdosz! łebkiś wasze! Wiedzicie więc szlachetna Pani, że jak moja persona tak i służba, całym affektem was witamy. Za pomyślność Agnieszki! (*Wszyscy piją trącając w puhary i ciskają one oziemię*).

AGNIESZKA (*z wolna spogląda do koła*).

Rodolfie Holdensztern! chcę mówić z wami; kaźcie oddalić się służbie.

RODOLF.

Niech umilkną Grajki, oddalście się wszyscy chcę pozostać sam z ulubioną.

AGNIESZKA (z oburzeniem).

Z ulubioną! (*Wszyscy rozchodzą się śpiesznie. Miłosz wchodzi do drzwi bocznych.*)

MIŁOSZ (ns.)

Muszę wiedzieć, o czém mówić będą. (*kryje się.*)

SCENA 10.

RODOLF, AGNIESZKA, MIŁOSZ (*ukryty*).

RODOLF (*siadając obojętnie*).

Cóż mi macie powiedzieć szlachetna Pani?

AGNIESZKA (*dumnie*).

Powstań! Kobięta do was przemawia, kobięta, która wymaga czci i szanowania.

RODOLF (*zdziwiony*).

Wy w ten sposób do mnie przemawiacie? Czy zapomniałaś niewiasto, że was słucha Rodolf Holdensztern, Pan dziedziczny tój ziemi, i w którego ręku zostaje wasza swoboda?

AGNIESZKA.

Ja to tylko mam w pamięci, że jestem córą Radziśławskich, żoną Starosty, Panią Zamku, którego mienicie się dziedzicem, dumna cnotą i znaczeniem! (*chce odejść*).

RODOLF.

Jasne pioruny! widzę żeście jeszcze mało mnie poznali, (*wstając i szydersko*). Słucham was tedy z pokorą.

AGNIESZKA.

A ja się was pytam, na jakiej zasadzie obsadziliście

moją siedzibę waszym żołnierzem i mnie kobietę wolną, żonę Rawicza, i córę z pierwszych rodzin naszego kraju, trzymacie w więzieniu; na jakich prawach, gwałtem i siłą wtrzymujecie mnie biedną niewiastę, abym nie pośpieszyła w uściski męża, którego wasza nikczemność podała w niełaskę u króla! Pytam się was Rodolfie Holdensztern, jakim prawem zatrzymujecie matkę w niewiadomości co się stało z jej dwojgią synami zostającymi przy ojcu?

R O D O L F.

Jasne pioruny! prawem?... prawem zemsty!

A G N I E S Z K A.

Zemsty? i cóż ci zawiniła słaba niewiasta, co ci zawinić mogły biedne dzieci, które za przebudzeniem, na próżno wyciągały drobne rączka wzywając matki? Sieroty, pod obcym niebem; może zakończyły zaledwie rozpoczęte życie z głodu i nędzy! (*ociera łzy*).

R O D O L F.

Im pozostał ich ojciec, a mój wróg! Czart zesłany na ziemię, aby zakłócił moje szczęście i spokojność! ale nie, jasne pioruny! Szwed mężny, mścić się potrafi!

A G N I E S Z K A.

Nikczemna zemsta! która swój jad wywiera na niewiastę i sieroty; nikczemna w oczach Boga i ludzi!

R O D O L F.

Kobięto! ty mnie nierozumiesz, ty nie czujesz, że tym sposobem trafiam w serce mojego wroga! oh! bo na teraz i on cierpi, cierpi nad siły człowieka! jestem pewnym tego. On mnie pozbawił czci, honoru, znaczenia; teraz na niego kolój. Ja, Rodolf Holdensztern zostałem wygnancem, tułaczem pod obcym Niebem! i to

przez niego; mąż wasz stargał na zawsze dni szczęścia mojego. Któż pierwszy był przyczyną, że boleść zabiła Adelajdę? a jedyny potomek rodu Holdenszternów, moje życie, moja nadzieja, zgorzał w płomieniach wającego się domówstwa?! On! i zawsze on! (z rozpaczą). A ja niemogłem chociaż martwe ucałować zwłoki bo siepacze stali nad moją głową! Trzeba było ochraniać życie. Krew wrzała, w głowie się mięszało, a zemsta, lodem ścinała serce moje! Ah! piekielny to był dzień!...

AGNIESZKA.

Czemuż lepiej niepoświęciłeś mnie ceniom Adelajdy?

RODOLF.

Nie, to byłoby za mało! Kiedy gorączka ustała, rozważa przybyła w pomoc; mnie niepotrzeba było krwi bo szlachetny Szwed, brzydzi się mordem, mnie potrzeba było aby te same katusze, które wycierpiał, stały się udziałem wroga mojego; uwiozłem cię więc z sobą, a wierni słudzy: Heronim i Kurdosz, pilnie strzegli ciebie jako zakładu zemsty; to trwało do czasu, dopóki niezdolałem poburzyć umysł słabego Zygmunta, aby za źle wypełnione poselstwo, wygnańcem uczynił wroga. Odtąd jestem spokojny, szczęśliwy i zemsta moja zupełną! Wasze mienie stało się moją własnością. Jasne pioruny! jam tu pan, jam dziedzic!

AGNIESZKA.

A mój mąż, moi dwaj synowie?!..

RODOLF (z dzikim śmiechem).

Ha, ha, ha! tulacze po świecie, bez kraju, bez rodziny! Więcej ci powiem jeszcze; przez cały czas waszego tu pobytu, pilnie starałem się rozgłaszać, że afekt miłośny zjednoczył losy moje z waszemi, a zebra-

na pod zamkiem szlachta o stugębnym rozgłosem wyda świadectwo, jak w dniu dzisiejszym widziano was w moich objęciach.

AGNIESZKA (*pada na krzesło*).

Ach!

RODOLF.

Ha! to to sztylet w piersi wroga, niezagojoną raną, a ofiara popiołom Adelajdy i biednego dziecięcia! Ach! jasne pioruny! wina! to uśmierza przeszłe troski. Pij kobieto! jednakowe nasze cierpienia.

AGNIESZKA.

Boże! to za wiele mąk! Zniesławiona!... (*z mocą*) człowieku bez litości! nadto srogo posuwasz zemstę swoją! Mąż mój wypełnił tylko dane mu zlecenia.

RODOLF.

A któż mu polecał donieść Księżciu Sudermanii, że popieram prawa Zygmunta, że pragnę wzburzyć Szwecję, aby Rejencia Państwa, komu innemu została powierzona!

AGNIESZKA.

A czy niewiecie o tém, dumny Rodolfie, że mąż mój, jako poseł, miał tajne zlecenie, pojednania i zgody z Księciem Sudermanii, że łagodny Zygmunt przebaczył chytremu stryjowi, i wszystko zostało w dawnym porządku. Nie Rawicza w tém wina, że Książę Sudermanii zapragnął głowy twojej.

RODOLF (*zapominając się*).

Nie tak rączo mości Książę; jeszcze głowa Rodolfa silnie siedzi na karku. Ale wy srogo przypłaciliście przewrótne układy. Zaledwie Książę poczuł swoją przewagę, zapomniał łagodności, a ja potrafiłem użyć tej

chwili na przekonanie Zygmunta o użyteczności moich działań. Co mi zostało wydartém w Szwecyi, powrócono w waszym kraju. Jestem Panem, znowu możnym w znaczenie, w dostatki! Jasne pioruny! Panem mienia swojego wroga, to mi daleko droższém czyni moje bogactwo; a on tułacz i wygnaniec!...

AGNIESZKA.

A dzieci, Rodolfie! dzieci bez matki!.. a ja z niesławiona!...

RODOLF.

A Adelajda! a moje dziecię, których już nigdy na ziemi nieodzyskam?... Co mi po dostatkach, znaczeniu?... komuż je przekażę w dziedzictwie? z kimże się niemi podzielę?... Niéma dla was przebaczenia!.. Idź; jeszcze jesteś dosyć bogatą, masz córkę, która osłodzi ci stratę synów twoich, jeżeli już nieżyją. Ale ja, sam, wiecznie sam!... Ach! to okropnie!...

AGNIESZKA.

Ale ta córka, te dzieci, jeżeli je odzyskam kiedy, niezapomną przecież plamy, którą twoja zemsta skalala ich matkę, a mój mąż czyliż przebaczy, czyliż uwierzy.

RODOLF.

On nieprzebaczy?... w tém moja rokosz i szczęście — wieczny rozbrat pomiędzy wami, — to do Kraju wrócić niemoże, zapobiegłem temu. W zgielku więc wrzawy wojennój, szukaj ulgi cierpieniom.

AGNIESZKA.

Gdzież jest, kędy, w której świata stronie? o! powiedź, powiedź! niech wiem, abym mogła pospieszyć osłodzić jego niedolę, wybrać przebaczenie, rozproszyć

niegodne, córki Rawiczów, podejrzenie, abym mogła umrzeć łącząc łzy moje ze łzami ukochanego małżonka.

R O D O L F.

Znajdź go na flocie Duńskiej. Ogień, morze i ziemia, ustaliły przedział pomiędzy wami.

A G N I E S Z K A.

Niéma zapory, — ani morze, ani ogień, wstrzymać mnie nie zdołają, wszędzie znaleźć go potrafię, o żebranym chlebie przejdę obce szlaki, Bóg doda mi siły, a rozpacz odwagi. Pozostań, w tej pysznej siedzibie przodków moich. Dla mnie tam raj, gdzie mój mąż, gdzie moje dzieci?

R O D O L F.

A twoja córka niewiasto; czyż wystawisz ją na zimno i niedostatek?

A G N I E S Z K A.

Moja Bronisława, moja córka, ja niewiem; zmysły już mnie odstępują! ale nie! uniosę ją z sobą, tchnieniem matki, ogrzewać będę zziębnięte ciało dzieciny, dzwigać przy łonie ten ciężar, który pojedna mnie z mężem i osłodzi naszą niedolę.

R O D O L F.

A jeżeli ze znużenia zamrzesz w pół drogi bezsilna niewiasto?

A G N I E S Z K A.

Szatanie nie człowieku, cóżeś wyrzekł?... to prawda, któż wtenczas będzie jej wsparciem.

SCENA II.

CIŻ I MIŁOSZ.

MIŁOSZ (*wychodząc z gabinetu*).

Ja, nieszczęśliwa Matko.

RODOLF.

Jasne pioruny! ten nędznik nas podsłuchiwał.

MIŁOSZ.

Przebacz dostojny Panie! Wyższa wola nakazuje—mi moją powinność. Kiedy po raz piérwszy ukazałem się na waszym dworze, i zdołałem pozyskać łaskę Marszałka, zwodziłem was;—moim celem była ta szlachetna niewiasta, której Rodziców chleb pożywałem, i o niewinności jój ja miałem wydać świadectwo. Niezawiodłeś się dostojny panie w wyrachowaniu zemsty; na samą myśl niewiary małżonki, sroga boleść ogarnęła duszę szlachetnego męża. Ja zostałem wysłany, aby dojść prawdy, potępić, lub ocalić moim doniesieniem honor niewiasty i matki. Dziś, gdy twoje cierpienia, twoja zemsta, tylu łzami okupione zostały; dozwolisz mi szlachetny Panie, uprowadzić ztąd nieszczęśliwą Matkę.

AGNIESZKA.

Boże! Boże! jestże to sen co słyszę?...

RODOLF.

Jasne pioruny! Ta czelna zuchwałosc srodze ukaraną zostanie!

MIŁOSZ (*rzucając się mu do nóg*).

Nie, dostojny Panie, ty ulitujesz się nad łzami naszymi, tak jak Bóg w godzinie śmierci lituje się nad duszą grzesznika, — dosyć łez, dosyć zgorszenia!

RODOLF.

Niedosyć, jasne pioruny! niedosyć! wtenczas dopiero kiedy ujrzę zgon wroga, upamięta się wściekłość moja.

MIŁOSZ.

„I odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy“ wyrzekł Pan na górze Oliwnój; czyż nie winniśmy na śladować Stwórcy?

RODOLF.

Do turmy zuchwalca, do lochów go wtrącić! (*gwiżdże*) niesłyszycie! (*idąc wgłąb*). Hej! hola! do mnie wiara!

MIŁOSZ (*szybko przystępując do Agnieszki*).

Nieumiem kłamać i ciągle się zdradzam. Ale weź ten papier, jeżeli zginę, on cię nauczy dokąd udać się powinnaś.

AGNIESZKA (*biorąc papier*).

Któż ty jesteś?

MIŁOSZ.

Ten, którego Braci wkrótce bliżej poznasz; ten, dla którego wola Przełożonego, jest wolą Stwórcy.

RODOLF (*do przybywającego Kurdosza*).

Do więzienia tego nędznika, na dno zamku o chlebie i wodzie.

AGNIESZKA.

Przebaczenia!

RODOLF (*wściekle*).

Adelajdę mi powróć! Adelajdę!...

MIEŁOSZ (*wzniósłszy oczy w górę*).

Cierpiął Jan Huss za dobrą sprawę, niech się więc stanie równym brat bratu.

SCENA 12.

CIŻ I KURDOSZ.

KURDOSZ (*z pośpiechem*).

Goniec z Warszawy przybył w tej chwili, przywiózł
wam wiadomość dostojny Panie, z po nad Bałtyku.

MIEŁOSZ (*drżącym głosem*).

Oddal się kobięto, ta wiadomość jest zgubną dla ciebie.

RODOLF.

Uprowadźcie tego nędznika. (*Wyprowadzają Miłosza*)

AGNIESZKA.

Jakież jeszcze cios ma mnie dosięgnąć. Oh! czuję
jak ściska się serce, i życie zwolna drętwieje.

KURDOSZ.

Otóż i Goniec.

RODOLF.

Cóż powiesz?

SCENA 13.

CIŻ I GONIEC.

GONIEC.

Hrabia Państwa Szwedzkiego Rodolf Holdensztern,
Pan i Starosta na Żmudzi, dziedzic.... (*podaje pa-
piery*).

R O D O L F.

Prędzęj; ja nim jestem, (*bierze papier i czyta, po chwili — z wybuchem*). Jasne pioruny! — skączyła się moja zemsta, już nie żyje!... (*do Agnieszki*). Czytaj kobieto.

A G N I E S Z K A (*po przeczytaniu*).Ach!... (*pada zemdlnona*).R O D O L F (*biorąc puhar*).

Niema już wroga; dalej! wesoło! dzieci! to nasz zamek, i wszystko skończono. Bierzcie kaźden co komu się spodoba, mnie nie trzeba złota, dość na t^{em}, żem przyspieszył śmierć nędznika.

A G N I E S Z K A (*przychodząc do siebie*).

On umarł przeklinając mnie!

R O D O L F.

Teraz już więcej niezatrzymuje was dostojna Pani

A G N I E S Z K A (*nagle przypominając sobie*).

Moja córka! moja Broncia! Ach! jeszcze dla niej żyć potrzeba, (*wbiega z rozpaczą do drzwi na lewo*).

R O D O L F.

Dalej wiara! pićcie! kapela niech huczy wesoło! potrzebuje się zagłuszyć! (*wściekle*). Miła roskoszować samotnie bez żony i dziecięcia! na obcej ziemi!... Bierz co kto może!... (*Kapela gra forte — gawiedz rozbija kufry — powszechny rabunek i zamieszanie, głosy: „To moje! To do mnie należy! puszczaj!” i t. p.*).

R O D O L F (*stojąc na boku martwym głosem*).

Dobrze, to mnie pociesza. (*Zamieszanie trwa aż do chwili ukazania się Agnieszki, która jak widmo staje w progu komnaty z dziecięciem na ręku, spojrznie jej wprost spotyka się z suchym wejrzeniem Rodolfa*).

S C E N A 14.

CIŻ I AGNIESZKA (z dzieciąciem),

AGNIESZKA (spokojnie).

Szwedzie! patrz, ta chałastra co rabuje mienie wdowy, to twój dwór, — dzięki Niebu, ani jeden z tych ludzi niezdobi się ubiorem przodków moich, i ani jeden z nich nie jest mi znanym; i dla tego z oschłym okiem, patrzę na zniszczenie, — pozdrawiam was panem tego zamku Rodolfie Holdensztern, i idę tam kędy mnie los powołał.

RODOLF (do swoich).

Wolne przejście tój Pani.

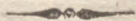
AGNIESZKA (na środku sceny).

Nasyconą zemsta twoja, ale głos słabiej kobiety bez silny na ziemi, dochodzi stopy Stwórcy, i tam jemu biedna niewiasta przekazuje swoją pomstę. Przeklinam cię Rodolfie, za krwawe łzy, które wylałam, przeklinam za stratę synów moich i nędzę którą wycierpiałam! Nie patrz dzikim wzrokiem, nieurągaj szyderczo kłatwie niewiasty, (wznosząc obu — rącz w górę dziecie), bo matka i dzieciąciu przekaze zemstę (do córki) Aniele czystości, patrz, oto stoi ten, który pozbawił cię ojca, braci i rodzinnej ziemi! niech przeklęstwo tój dzieciny zatruje zgryzotą pozostałe dni życia twojego i zabrzmi w uszach w chwili skonania! (z rozpaczą). Boże, Boże! przebacz mi, to rozpacz usty mojemu przemawia, (wybiega).

RODOLF.

Adelajda stracona na zawsze, i dziecie które w płomieniach zakończyło życie!

(Kortyna zapada).



AKT DRUGI.

(Widownia przedstawia Salę Zbiorową braci Morawczyków, kościelne okna w górze, przez które spostrzegać daje się górzysta okolica, pokryta śniegiem— w środku wielkie drzwi, inne mniejsze obok, do koła sali ławki, — po lewej wielkie krzesło, stół, na niem księga praw, potrzeby do pisania, i mała skrzyneczka. Za podniesieniem zastony widać całe zgromadzenie braci w zupełnym nieładzie, jedni chodzą rozmawiając, drudzy siedzą, kobiety, dzieci śmieją się, żartują; gwar ciągły aż do czasu, kiedy brat Andrzej uderzy hasło porządku).

BRAT BOGUMIŁ, BRAT ANDRZÉJ, LUDMIR, KATARZYNA, ELIZA, ADOLF, ZDZISŁAW i Inni.

ELIZA.

Jakiż mroźny dzień!

KATARZYNA.

Nikt z podróżnych niepojawia się.

LUDMIR.

Dzień Świąteczny, Niedziela; możemy spocząć po trudach tygodnia.

A D O L F.

Zdzisławie, oddaj mi moją zabawkę.

Z D Z I S Ł A W.

Nie, to moja, brat Ludmir dla mnie ją zrobił.

A D O L F.

Jak cię kocham, kłamiesz.

K A T A R Z Y N A.

Cicho dzieci, ciągle się tylko sprzeczacie.

A D O L F.

To brat Zdzisław.

Z D Z I S Ł A W.

Nieprawda, to Adolf.

K A T A R Z Y N A.

Cichoże, powiadam.

A D O L F.

Dobrze, jeżeli to jego zabawka, ja mu ją odstąpię.

Z D Z I S Ł A W.

Moja, moja, moja.

L U D M I R (*który z innemi zajęty był rozmową*).

Chłopcy, haczność! niekłóćcie się, bo żadnego nie wezmę z sobą na ślizgawkę.

Z D Z I S Ł A W.

Weźmiesz mój bracie.

A D O L F.

Już ja jestem grzeczny.

I N N E D Z I E C I.

I my, i my!

LUDMIR.

To dobrze, tylko spokojnie się zachowajcie. (*Dzieci obstepują go*).

BOGUMIŁ (*do Andrzeja*).

Bracie, daj znak porządku.

ANDRZÉJ (*uderzając w przygotowaną na ten cel blachę*).

Po raz, po drugi i po trzeci. „A rzekł Pan, niech spokoj między bracią gości“. (*Wszyscy w milczeniu zasiadają ławy*).

BOGUMIŁ.

Zgromadziłem was na to mili Bracia, w tym dniu siódmym z porządku tygodnia. W tym dniu odpoczynku wedle przykazu Pana, aby zupełna swoboda była w zdaniu naszym. Dzisiejsze modły wnosząc się do Pana Panów, przystępniejszemi prawdziwej mądrości uczyniły umysły nasze, albowiem: Mądrość jest daną od Boga, i szczęśliwy ten kogo Stwórca oświecił. Padnijmy więc raz jeszcze na kolana mili bracia, niech każdy w cichości odnowi prozbę do Pana Zastępów, a potem z weselszém sercem radzić będziemy. (*Wszyscy padają na kolana i modlą się w cichości, Bogumił głośno*). Boże! Ojczy ludów! Ty! coś stworzył świat zniczego, wołaj i słowem! W którego rękę losy nasze i wyrok sprawiedliwości! O Ojczy! jeżeli zbłądził oświeć mnie, jeżeli do serca mego wkradła się zawiść przeciw bliźniemu, przebac mi. Jam człowiek zrodzony w grzechu, krew bratnia krąży w żyłach moich i niemam siły oprzeć się woli umierającego. (*Zwiesza głowę — pauza — nagle powstaje*). Stało się! cofnąć niepodobna!

(*Wszyscy do dawnego wracają porządku*).

ANDRZÉJ.

I cóż nam obwieścisz?

BOGUMIŁ.

Katarzyno, gdzie są dzieci powierzone twojej opiece?

KATARZYNA (*biorąc za rękę Adolfa i Zdzisława*).

Oto są.

BOGUMIŁ.

Pamiętasz Sostro jak przed dwóma laty, w tejże samej sali zgromadzeni jak dzisiaj, przyjeśliśmy w naszą bratnią siedzibę biédnego podróżnego z dwójgiem dzieci; czy pamiętacie to bracia?

WSZYSCY.

Pamiętamy, pamiętamy.

BOGUMIŁ.

Wynędzniały, nieszczęśliwy Ojciec zdązał do naszego ustronia, aby umierając niepozostawić sierotami, biédne dziecińcy. Wszechmocny ulitował się nad ich niedolą i dodał tyle siły, że choć wycieńczony i schorzały ojciec doszedł kresu swojej pielgrzymki, bo trzeba wam wiedzieć, że z dalekich stron człowiek ten przybywał, z po nad Bałtyku, gdzie uszedł z krwawej potyczki. Te dwoje dzieci tutaj obecne, byli to jego dwaj synowie, jedyna pamiątka niewiérnej żony, która z jego wrogiem uszła w inne kraje, i... o, sromoto! czasie zepsucia i zgorzenia narodów!... nie wstydzi się podobna niewiasta!.. lecz widok tych dzieci tamuje wyrazy na ustach moich, — zamilczam występki Matki... bracia, wy mnie rozumiecie.

ANDRZÉJ.

Bracie, przypominasz zdarzenie, dobrze każdemu

z nas wiadome, wiemy bowiem, że nieszczęśliwy Ojciec złożony niemocą, po kilku miesiącach umarł na naszym łonie powierzając twojej opiece biedne dzieci. Wiemy także jak gorliwie zajmujesz się poleceniem umierającego. Brat Miłosz natychmiast został wysłany, aby dał świadectwo, czy puszczona pogłoska o niesławie żony tego podróżnika, była rzeczywistą, i czy dziecię, które przy rozłączeniu się z mężem, w łonie swoim nosiła, ujrzało światło dzienne.

L U D M I R.

Ale Miłosz nie wraca — czy nie macie od niego żadnej wiadomości, bracie Bogumile?

B O G U M I Ę.

Dozwolcież mi mówić; podróżny umarł polecając mi, abym się bliżej przekonał, co słychać w jego kraju, abym te dwoje dzieci wychował w świętej wierze jego przodków; starszemu nadając imię Zdzisław, młodszemu Adolf. Zaszczepić czystą wiarę Chrystianizmu w młode serca, stało się powinnością moją skoro taka była wola umierającego; ale braćmi naszymi pozostać oba powinni, taka jest wola moja, takie zdanie, przystajecież?

W S Z Y S C Y.

Zgoda! zgoda!

A N D R Z É J.

Chwilkę tylko — ja zaprzeczam;

B O G U M I Ę.

Czemuż?

A N D R Z É J.

My, trzymając się praw Wiclefa, jego świętych zasad, nie możemy liczyć w naszym gronie innego wyznawcy.

W S Z Y S C Y.

Prawda! prawda!

B O G U M I Ę.

A czy ci Wielki zabronił kochać bliźniego twego; czy ci powiedział w ustawach swoich, jeżeli poganin, Bisurman wyciągnie ku tobie zebrzącą rękę; abyś mu odmówił wsparcia; w jakich prawach, w jakich artykułach naszej wiary nauczyłeś się, że jesteśmy osobnym narodem? Bóg Ojciec wszystkich ludzi! a każda wiara, świętą wiarą jeżeli woła do swoich dzieci; „kochaj ludzkosć; czej cnotę i Boga!“ Bracie, jedność stanowi społeczeństwo człowieka, szanujmy ten święty węzeł stowarzyszenia, w nim moc ducha cnoty człowieka.

A N D R Z É J.

Niechże i tak będzie, przekonałeś mnie bracie.

B O G U M I Ę.

Pozdrawiam was dzieci! (*wznosząc ręce nad ich głowy*). Oby duch świętej waszej wiary obdarzył was mądrością swoją a w naszej bratniej zagrodzie obyście się nauczyli kochać bliźniego swego jak siebie samych.

A N D R Z É J.

Czy masz jeszcze nam co powiedzieć?

B O G U M I Ę.

Słuchajcie dalej — nieznajomy podróżny umarł w Bogu i w kilka dni Miłosz dla wiadomej już wam przyczyny, udał się w podróż; lecz żadnej od niego nieodbieramy wiadomości; pieniądze użyte na drogę, dawno biednemu bratu, nieznającemu dobrze zwyczajów świata, musiały się wyczerpać i dla tych przyczyn postanowiłem wysłać jeszcze, którego z naszych, aby mógł domieść co się stało z Miłozsem.

LUDMIR.

Pozwolicieź sobie przełożyć, że oprócz mnie nie widzę tutaj żadnego z braci, znajdującego tamte strony, jeżeli więc taka wola twoja; jutro już będę gotów do drogi.

JOACHIM.

Słowo tylko, brat Bogumił, zechcę nam przy tej sposobności wytłumaczyć, dla czego drugiego z braci poświęca, dla dopełnienia woli zmarłego, któremu wiadomość o pożyciu żony stała się bezużyteczną.

BOGUMIŁ.

A jego biędne dzieci bracie Joachimie, czy zapomniałeś jaki święty obowiązek ciąży na nas.

ANDRZÉJ.

Słusznie, słusznie, tu idzie o dobro dzieci naszych zgadzamy się na wszystko, co tylko ojciec zgromadzenia uważa za dobre.

LUDMIR.

Jego wola, naszą wola.

JOACHIM.

Ja przecież nie stawiam oporu, powiedziałem tylko swoje zdanie, które podług praw naszych, każdemu z braci jest dozwolone — i gdyby nawet mnie samemu rozkazano udać się w tę pielgrzymkę — jestem gotów.

BOGUMIŁ.

Wasza powolność, wasze przywiązanie osładza wszystkie moje troski. Bracia, Bóg szczęści naszemu stowarzyszeniu. — 15 lat już przemija, jak objąłem ster naszych dochodów a przez te 15 lat, widzę z każdym dniem powiększone nasze mienia, przywiązanie brater-

skie — jedność, praca; są to skarby nasze; w nich moc braci Morawczyków i siła — dalecy od zgiełku świata i jego przewrotności, pędzimy życie w błogim spokoju; szczęśliwi na łonie małżonek, nie żądamy ani chwały, ani znaczenia; cała przyszłość w dzieciach, którzy obejmą po nas też same uczucia, ale ja!... wasz przełożony... bracia.. ja nie mam tej pociechy, małżonka dawno spoczywa snem wiecznym, a przyszłość uśmiecha się do mnie, w tych oto tutaj dziecinach, które mi Opatrzność, w dobroci swojej zesłała. Przebaczcież więc jeżeli zbyt troskliwie zajmuję się ich dobrem,

W S Z Y S C Y,

Życie nasze dla ciebie!

B O G U M I Ę.

Dziękuję, dziękuję — pozwalacież mi więc przybrać ich za synów?

W S Z Y S C Y,

Zgoda! zgoda!

B O G U M I Ę,

I żaden nie będzie się opierał prośbie i woli mojej w tém co mam powiedzieć?

W S Z Y S C Y,

Powiedz! powiedz!

B O G U M I Ę,

Bracie Andrzeju! otwórzcie księgę i odczytajcie 12-ty artykuł prawa nieśmiertelnego brata Włocłafa.

A N D R Z É J (czytając).

„Żaden z braci naszych nie weźmie oręża do dłoni, tak dla własnej obrony, jako też dla obrony żony swojej, dzieci swoich, braci swojej, łagodność, praca i cnota bronią, brata być winna.“

BOGUMIŁ.

Dalej, dalej.

ANDRZÉJ.

„Zaden nigdzie i nigdy, brat nie waży się przecho-
 „wywać w sercu swoim jadu zemsty przeciw bliźnie-
 „mu swemu. Albowiem Pan przebacza dzieciom swoim,
 „ich ułomność i grzechy.“

BOGUMIŁ.

Dosyć! a teraz bracie odwróć kilka stron i prze-
 czytaj ostatnie warunki przełożonego.

ANDRZÉJ (*po małej pauzie*).

„Głową rodziny winien być: człowiek silny sercem,
 wołą i umysłem; rzemiosłem szewc — jako na znak, że
 prawodawca takimże samem trudnił się rzemiosłem.
 Szczérze trzymający się przepisów stowarzyszenia, wybra-
 ny wołą braci, niemający rodziny za obrębem domówstwa;
 nadto, nie mieszczący w swoim sercu; ani urazy, ani
 zawiści. Ktokolwiek inaczej myśli, będzie niezdolny
 rządzić sprawiedliwym bratem; niech oddaje władzę
 w inne ręce, a sam ulega namiętnościom swoim.“

BOGUMIŁ.

Tak też będzie świątly prawodawco — Andrzej! po-
 daj księgę wpisu — (*Andrzej podaje*) weź pióro i wy-
 kreślji nazwę moją ze starszeństwa; a natomiast umieść
 ją pod nazwiskami dzieci naszych.

ANDRZÉJ.

Wszchemocny Boże — co to ma znaczyć?

WSZYSCY.

Biada nam!

BOGUMIŁ

Wahasz się a więc — ja sam (*powtarzając*) i nie zdolnym rządzić sprawiedliwym bratem.... (*wykreśla swoje nazwisko*).

ANDRZÉJ.

Bracie, bracie, cóżes uczynił, (*powszechny smutek*).

BOGUMIŁ.

Co mi sumienie i rozsądek radził, a teraz wytłomaczę wam mój postępek. Kiedy lat temu 18-cie ukazałem się w progu waszego domowstwa, wyjawiając wolę moją, należenia do braci; byłem wówczas silny, przystojny, i ani wiara, ani zamiłowanie w spokojnem pożyciu, nie kierowały uczuciem; jedna tylko miłość była bodcem moim. Bawiąc w tych stronach ujrzałem przypadkiem dziewczę, która po raz pierwszy, dała mi uczuć święty płomień, czystej miłości, ta dziewczica należała do was, była siostrą waszą — dla niej to bez wahania wyrzekłem się stosunków świata i wedle przepisów naszych uczyniłem rozbrat z ukochanym bratem, od którego o lat 7 byłem starszym, majątek na mnie przypadły z ochotą doręczyłem zgromadzeniu, zamieszkałem z wami; duszą i ciałem, zostając bratem Morawczykiem; odtąd nie słyszałem więcej o bracie, ani o lubej krainie; z wami upływały błogie dni szczęścia i spokoju; powszechnym głosem wezwany do rządzenia bracią przyjąłem ten słodki ciężar; on mi wynagrodził utratę kochanej małżonki, która po krótkim pożyciu zakończyła dni swoje. Praca zatarła w pamięci wspomnienia brata i rodzinnej ziemi tak upłynęło lat 10-sięć. Niedawnemi czasy, przypadkiem dowiedziałem się; że mój brat pojął w małżeństwo dziewczę szlchetnego rodu. Upłynęło znowu lat trzy od chwili tej wiadomości i dopiero po

18-tu latach rozłączenia uściskałem w objęciu ukochanego brata, lecz Boże! w jakim stanie, w jakiej chwili!...

JOACHIM.

Bracie jesteś wzruszonym.

ANDRZÉJ.

Spocznij (*sadowiąc go na krześle*).

BOGUMIŁ.

Ten nieznajomy podróżny powierzający mi swoje dzieci, ten zgłodniały wygnaniec to był mój brat.

WSZYSCY.

Brat! jego brat!

BOGUMIŁ.

Mój brat! ukochany Tomasz; on przybył po mój uścisk po 18-to letnim rozłączeniu; zgłodniały, wycieńczony. On! któremu chętnie oddałem całe mienie nasze, aby opływał w dostatki i na którego głowie spoczywał szlachetny ród przodków naszych.

ANDRZÉJ.

Bracie nie przywódź sobie na pamięć.

BOGUMIŁ.

Oh! bo wy nie rozumiecie jak to boli utracić nadzieję, że ostatni szczep zamożnej rodziny zamiast sławy i znaczenia kończy marnie życie jako tulacz i wygnaniec, i matka tych dzieci — ah! umierający przekazał mi swoją nienawiść, głowa i serce moje już nie są zdolne rządzić wami; bo ja umierającemu bratu przyrzekłem dotrzymać słowa i dotrzymam go przysięgam!

LUDMIR.

Cóż to za przysięga.

BOGUMIŁ.

Słuchajcie. Zygmunt zrodzony w Szwecji, mający zupełne prawo do siedziby Wazów, powierzył rządy państwa Księciu Sudernanii, lecz podejrzana wierność tego pana, nakazywała mieć baczne oko na jego postęпки, w tym celu mój brat został wysłanym do Szwecji i wkrótce po małżeńskich godach, wyjechał z żoną biedny Tomasz, do kraju będącego zbiorem zawichrzeń, zrad i podstępów. Pomiędzy wielu zamożnemi Szwedami, odznaczał się szczególnie Rodolf Holdensztern; człowiek ten okazywał się raz jako przychylny sługa Księcia, to znowu jako wierny poddany prawego Monarchy; tém przewrotném postępowaniem dumny Rodolf pragnął obu zyskiwać względy a tajemnemi poszepty, burzył naród aby pozbył się Księcia i nieobecnego Pana na zawsze od praw jego odsunął, lecz dzięki niebu! Wszechmocny karze dumne zamysły — i zniweczył zamiary Rodolfa. Brat mój Rawicz, wcześniej zawiadomiony, uprzedził Księcia o grożącym niebezpieczeństwie — rozgniewany Karol, kazał natychmiast pochwycić Rodolfa a dom jego obrócić wperzynę. Holdensztern zdołał jednak umknąć szczęśliwie, a mszcząc się doznanej krzywdy w powszechném zamieszaniu uprowadził niegodną małżonkę mojego brata. Później, korzystając z okoliczności, Rodolf, w tak szkaradnym świetle zdołał przestawić zawsze łaskawemu Zygmunutowi postępek mojego brata; tak chytrze odmalować jego przedajność: że rozgniewany pan, na zawsze wygnał naszą rodzinę z kraju i mienie nasze oddał w ręce Rodolfa. — Rozpacz ogarnęła nieszczęśliwego brata, w jednymże czasie utracił małżonkę, cześć i mienie; pozostał mu tylko syn.

ANDRZEJ.

Syn?

BOGUMIĘ (z małem pomieszaniem).

Dwóch synów... z temi po dwuletniem tulactwie, aż tutaj zdołał przybyć i oto są.

LUDMIR.

Pozostaną z nami na zawsze.

ANDRZÉJ.

Szczęśliwi! dalecy od wrzawy świata.

KOBIÉTY.

Będziemy je kochać, pieścić.

BOGUMIĘ.

To jeszcze nie wszystko, mili Bracia: uchodząca niewiasta wkrótce miała zostać matką — i dla tego to Miłosz został wysłanym do ziemi Żmudzkiej, a teraz sądzicie, czy mogę nadal wami rządzić; ja, któremu brat przekazał pomstę nad uwodzicielem i wrogiem, ja! który więcej myślę o wykonaniu zemsty! anizeli o waszej doli.

ANDRZÉJ.

Pozostań jak byleś dotąd głową naszego domu, zaniechaj niegodnego uczucia; rządz i dalej nami.

BOGUMIĘ.

Nie bracie, nazwisko moje nie może zdobić domostwa, którego piętnem wieczny spokój; wykreśliłem się z listy następców Wiclefa (*dobytając mały opieczętowany pakiet*), tu cała moja myśl: za lat 20-cia okaże się dopiero czy brat umiał umierającemu bratu dochować tajemnicy.

ANDRZÉJ.

A my czyż nie jesteśmy twoją bratnią?

LUDMIR.

Czy zapomniałeś, że jesteś Morawczykiem.

JOCHAN.

Któż cię godniej zastąpić potrafi.

KATARZYNA.

Nie opuszczaj nas.

ELIZA.

Rządź dalej prosimy.

WSZYSCY.

Prosimy! prosimy!

(Powszechnie zamieszanie, nagle daje się słyszeć wielki łoskot poczem, drwon; wszystko się uspokaja zdala daje się słyszeć głos, ale tak niewyraźnie że zaledwo jest dosłyszczanym) pomocy! pomocy!

BOGUMIŁ.

Ciszej! czy słyszycie?

KATARZYNA.

Nie wyraźnie ale zdaje się.

BOGUMIŁ.

Wołają o pomoc i ktoś puka do bramy, dzisiaj Niedziela nikt więc z naszych niepozostał przy fforcie.

ANDRZÉJ.

Może jaki nieszczęśliwy podróżny żąda pomocy.

BOGUMIŁ.

Biegnijcie! przedź tylko, kilku niech weźmie drag i łopaty do odkopywania zawiei śniegowój, teraz tak łacno o przypadek.

(Wszyscy śpiesznie odchodzą, Bogumił zatrzymuje Adolska i Zdzisława).

S C E N A 2.

ADOLF BOGUMIŁ ZDZISŁAW.

B O G U M I Ł.

O wy! niewinne dusze, wy nie czujecie przepaści jaka was rozdziela, ah! kochajcie się i nadal, kochajcie się tym czystym ogniem braterskiej miłości — Stwórco, który wszystko widzisz i słyszysz, przebacz mi mój postępek: wszak to tylko tak prosta, tak niewinna myśl — (z *namysłem*) a jednakże jak zimna i wyrachowana (z *wybuchem*) a mój brat, mój brat umierający! (*łącznie dzieci*) kochajcie się.

Z D Z I S Ł A W.

Czy gniewasz się na nas?

B O G U M I Ł.

O nie, nie; raczej to wy przebaczyć mi powinniście (*całuje Zdzisława*).

S C E N A 3.

C I Ź I L U D M I R.

L U D M I R.

Jakaś kobieta, zupełnie siłą pozhawiona z małym niemowlęciem na ręku, padła jak nieżywa u fórty.

B O G U M I Ł.

Należy jak zwykle udzielić pomocy i zaprowadzić ją do izby przeznaczonej dla podróżnych; czy jest brat lekarz?

L U D M I R.

Dano kilka mocnych Kordiałów i przychodzi zwolna do siebie.

BOGUMIĘ.

Dzięki opatrności! — a jej dziecię?

LUDMIR.

Po mimo chwilowego osłabienia zdaje się być w zupełnym zdrowiu, co do kobiety ta więcęj wymaga starań.

BOGUMIĘ.

Kobieta i małe dziecię czy... nie mówiła zkad przybywa — ja chcę ją widzieć — mówić z nią.

S C E N A 4.

C I Ź I K A T A R Z Y N A.

KATARZYNA.

Bracie, nieznajoma przyszła już ze wszystkim do siebie i żąda się z tobą widzieć, mówi że jest wam znana.

BOGUMIĘ.

Właśnie tam śpieszę.

KATARZYNA.

Niepotrzeba, bo wsparta na ramieniu naszych kobiet, sama tu przybędzie.

BOGUMIĘ.

Ale osłabioną należało położyć lepiej do łoża i nie dozwolić....

KATARZYNA.

Wszystko na próżno. O ciebie się tylko dopytuje i nie chce przyjąć żadnych starań, dopóki nie rozmówi się z Przełożonym.

S C E N A 5.

C I Ź I A N D R Z É J.

A N D R Z É J (za scena)-

Jeżeli taka wola nie opierajciez się dłużej, prosimy,
niech wejdzie.

B O G U M I Ł.

Jakże serce mi bije. Andrzej! odprowadź dwoje
tych dzieci (*całując obu*) biędne istoty! wasze prze-
znaczenie złożone w mojej prawości, bratnią miłość za-
szczepię w wasze młode serca, a pod skromnym ubio-
rem brata Morawczyka zapomnicie, że inną dolę
wskazywało wam wasze urodzenie, — (*Andrzej upro-
wadza dzieci*).

S C E N A 6.

BOGUMIŁ LUDMIR JOHAN KATARZYNA ELIZA i
wiele innych (*Agnieszka wsparta na ramieniu Kata-
rzyny, odzienie jej jeszcze okryte śniegiem, z Broni-
stawą pieszczą się kobiety*).

A G N I E S Z K A.

Któryż z was — gdzie on jest? gdzie?

LUDMIR (*wskazując Bogumiła*).

Oto ten!

A G N I E S Z K A (*chwilkę wpatrując się*).

Ah tak, też same rysy, też sama twarz pełna wy-
razu i godności; dozwól mi uścisnąć twoje stopy.

B O G U M I Ł (*z wruszoną — z lekka ją podnosi*).

Przed Bogiem tylko białogłowo zginaj kolana, jam
człowiek równy tobie, równy każdemu z braci.

AGNIESZKA.

Ale dla mnie wy jesteście wszystkiém na ziemi. Rodzic mój nie żyje, mienie wydarte, mąż zginął zlorzezcąc mi.

BOGUMIŁ.

Niewiasto któż ty jesteś? nie śmiem wierzyć słowom twoim.

AGNIESZKA.

Czy nie odepchniesz od siebie nieszczęśliwej matki, która tutaj szuka spokoju, czy nie odepchniesz niecną potwarzą shańbionej kobiety.

BOGUMIŁ.

Czy podobna? ty!.... nie, to być nie może, ja się myślę, powiedź?

AGNIESZKA.

To ja... Agnieszka.

BOGUMIŁ.

Dosyć — (*dlugie milczenie*) oddalcie się wszyscy chcę pozostać sam z tą Panią. — (*odchodzą*).

AGNIESZKA (*d. s.*).

Boże! czyż zechce uwierzyć?

SCENA 7.

BOGUMIŁ.

Jesteś Pani Agnieszka z domu Raclawskich z ziemi Żmudzkiej.

AGNIESZKA.

Jedne miano nas obu jednocy, zowie się Rawicz i zawsze chlubić się będę tém szczytném nazwiskiem.

BOGUMIŁ.

Pani się zapominasz, że mówisz do brata zhańbionego męża; że człowiek, który cię słucha wie o wszystkim, i przy łożu umierającego poprzysiągł wieczną nienawiść wam i waszemu uwodzicielowi.

AGNIESZKA.

Bracie mojego męża, nie należy w ten sposób przemawiać do biednej wdowy, która przychodzi u was szukać opieki; pozor częstokroć nas uwodzi i gdyby człowiek, którego wysłaliście dla dowiedzenia się prawdy był tutaj obecnym, dalby najlepsze świadectwo mojej niewinności.

BOGUMIŁ.

Kobięto i w cichój ustroni można wielu rzeczy być świadomym, a odgłos zgorzienia, sromoty, i bezwstydu, szeroko się po świecie rozchodzi.

AGNIESZKA.

Nie dziwią mnie wasze słowa, bo śpiesząc tutaj pewną byłam usłyszeć wyrazy zgrozy. Wy nie znacie świata, wy nie umiecie pojmować całkowicie serca kobiety, ale on!... mój mąż, mógłże mniemać że córka Radziśławskich zniży się do podłości, mógłże złorzeczyć biednej niewieście z którą pięć lat spędził w miłości i świętej wierze — ja nie mam słów obrony bo broniąc siebie jeszcze się poniżam, jednak weźcie to pismo ręką wam znajomego człowieka kreślone — ono nauczy was ile nikczemności może zawierać w sobie serce człowieka (*oddaje pismo*).

BOGUMIŁ (*z radością czytając papier*).

Oh! dajcie, dajcież bo serce moje ku wam się wy-

dziera jakże pragnę uściąć was, was siostrę, was małżonkę nieszczęśliwego brata.

AGNIESZKA.

A więc, niech łaska niebios natchnie wasz umysł i serce, zawierz bracie mojego męża temu czystemu wejrzeniu, co nie sroma się jasno patrzeć w wasze spokojne oblicze; zawierz bez dowodów, kobięcie szlachetnej krainy, której dziewczki z mleczywem matek wysysają zamilowanie cnoty i wpuszczicznie przekazują ją córom swoim. O bracie mojego męża, zawierz słowom moim a uwierzę: że w tym ustroniu znajdzie jeszcze biedna wdowa ludzi, na których serca łąco liczyć może.

BOGUMIĘ.

W imie więc przedwiecznego Boga! wyciągam ku tobie niewiasto braterskie dłonie. Oh! dobrze mówisz, to czyste spojrzenie nie może uwodzić i nieszczęśliwy brat mój za mało wam ufał.

AGNIESZKA (*wyciągając doń dłonie*).

Wolnoż mi więc...

BOGUMIĘ (*ściskając ją*).

Szukać ulgi w cierpieniu na łonie przyjaciela.

AGNIESZKA.

Bądź mym sędzią, ojcem, wsparciem!

BOGUMIĘ.

Ta chwila, która nas jednoczy, jest najpiękniejszą z dni mojego życia, z utęsknieniem jej wyglądałem — (*czytając*). To od Miłosza (*czyta po cichu. Z wyłączeniem*). Tak, tak, to potwierdza twoją niewinność, ten Rodolf jest szatanem (*jakby do siebie*). Bracie będziesz

pomszczonym! przysięgam ci raz jeszcze na kości naszych przodków (*czyta dalej — mówiąc*). Miłosz w więzieniu. Miłosz! potrzeba go wybawić zaraz, natychmiast, (*zapominając się*). Bracia! nasz brat jęczy uciśniony... (*pauza*). On będzie wolny za dni kilka (*biorąc Agnieszkę za rękę*) powiedź mi siostró, cóż dalej przedsięweźmiesz?

AGNIESZKA.

Czy możesz się pytać. Chcę osiąść tutaj z moją małą Brońcią, i tu oplakiwać naszą wspólną stratę.

BOGUMIŁ.

Masz więc córkę!! — Co za światło...

AGNIESZKA.

Cóż zamýślasz?

BOGUMIŁ.

Nie, nie... kobięto umiesz ty milczeć... ale nie, — jesteś słabą niewiastą, nie mogę ci zaufać — powiedź mi tylko czy Rodolf wie dokąd się udałaś?

AGNIESZKA.

Nie, nieznajomy wcisnął mi tajemnie kartkę w rękę, a ponieważ wyczytałam tam twoje szwagrze nazwisko, nie nie mówiąc nikomu, potajemnie uszłam w te strony.

BOGUMIŁ (*żywo*).

To dobrze, dobrze! Miłosz całkowicie spełnił dane sobie polecenie; teraz na mnie działać. — Znajdziesz tutaj siostró ludzi, którzy będą umieli szanować twoje nieszczęścia, co więcj: znajdziesz pociechę po stracie ukochanego męża, na łonie swoich dzieci.

AGNIESZKA.

Moich dzieci!

BOGUMIŁ.

Dowiedz się, że grób mego brata nie w nurtach Baltyku; jak doniesiono Rodolfowi dla odwrócenia podejrzeń: ale tu, na téj ziemi się znajduje.

AGNIESZKA.

Tu!

BOGUMIŁ.

Skonał powierzając moim staraniom dwoje dzieci.

AGNIESZKA.

Ah!

BOGUMIŁ (*śpiesznie idąc do bocznych drzwi*).

Nie drzyj siostrze, zbytek radości zabija.

AGNIESZKA

Moje dzieci! moi dwaj synowie — mój Adolf! mój Zdzisław! nie śmiem wierzyć, Boże! Boże! czuję że siły mnie opuszczają.

SCENA 8.

CIŻ, ADOLFEK I ZDZISŁAW.

BOGUMIŁ.

O to je masz.

AGNIESZKA.

Ah (*biegnie, nagle siły ją opuszczają, pada na ręce Bogumiła; przychodząc do siebie*). Moje dzieci... gdzie one... gdzie...

BOGUMIŁ.

Uspokój się siostrze — Adolfie! Zdzisławie! zbliżcie się...

AGNIESZKA (*wpatrując się w obu*).

Więc to nie jest złudzenie! ja mogę was przytulić

do macierzyńskiego łona, ja mogę powiedzieć: dzieci, to ja! wasza matka!... radość piersi mi rozrywa... ja nie mogę mówić, płakać... ja w obłęd wpadam.

B O G U M I Ł.

Cieniu brata! spójrzj z górnych stron na ten obraz, zapomnij urazy.

A G N I E S Z K A (*kłęcząc*).

Adolfie, Zdzisławie! czy poznajecie mnie? Jak oni wyrośli, poładnieli (*patrzac na Zdzisława*). Czysty obraz ojca! powiedzcież co do mnie; nazwijcież mnie matką—opuściłam was jeszcze w niemowlęcym stanie.

D Z I E C I.

Matko!...

A G N I E S Z K A.

Oh! jeszcze, jeszcze, to balsam na moje rany.

D Z I E C I.

Matka moja...

A G N I E S Z K A.

Boże! Boże! teraz dopiero zdolną jestem złożyć ci podziękii. A moja córka, moja Bronisia, pójdźcie; pokażę wam siostrę waszą.

(*Przez cały czas gry Agnieszki, Bogumił coś pisal na ostatnie słowa uderza znak wejścia*).

S C E N A 9.

C I Ź I W S Z Y S C Y M O R A W C Z Y C Y.

A G N I E S Z K A (*biegnąc do Katarzyny odbiera małą Bronisławę*).

Adolfie! Zdzisławie! patrzcie to wasza siostra, ah! teraz jestem szczęśliwą.

BOGUMIŁ.

Mili bracia! w tym dniu pamiętnym dla nas z tylu wzruszeń; cieszymy się przybyciem do naszego grona jeszcze jednej siostry Agnieszki. Czy zezwalacie, aby z nami zamieszkała domowstwo?

O G Ó Ł.

Zezwalamy, zezwalamy.

BOGUMIŁ.

Bracie Andrzej! wpisz: że dnia 14 Stycznia roku pańskiego 16..; przybyły w grono braci Hernhutters siostry, Agnieszka i Bronisława.

ANDRZÉJ.

Jakto bez potrzebnej na to próby przygotowawczej?

BOGUMIŁ.

Ja odpowiadam, za całość ustaw naszych.

LUDMIR.

Niewiasta wiarołomna mężowi.

BOGUMIŁ.

Niewiasta prześladowana od losu, ale czysta i nieskażona stoi przed wami, tego dowodem pismo Miłosza.

ANDRZÉJ.

Pismo naszego brata.

BOGUMIŁ.

Oddaję je wam. — Czytajcie: teraz bracie Andrzej pisz dalej. Tegoż samego roku, nastąpiła zmiana w zarządzie, ponieważ brat Bogumił, okazał się nie zdolnym...

ANDRZÉJ,

Ja tego nie napiszę.

WSZYSCY,

Nie, nie, nie pozwalamy.

BOGUMIŁ.

A więc wysłuchajcie proźby, którą do was wnieosę,

WSZYSCY,

Powiedź — rozkaż.

BOGUMIŁ.

Pod tym jednym tylko warunkiem podejmę się na-
dal zarządu.

WSZYSCY,

Nie opuszczaj nas!

BOGUMIŁ.

Za życia dozwolcie mi obrać następcę,

ANDRZÉJ.

To być nie może, 8-my artykuł księgi Wiclifa sprze-
ciwia się temu.

BOGUMIŁ.

Ja też nie przekroczę ustaw prawodawcy; dopra-
szam się tylko, aby mi wolno wybrać było którego
z dzieci naszych na rządcę, aż do czasu jego pełnoletności
zarządzać będę w jego imieniu, a po upływie dopiero
lat 20, jeżeli dożyję, wolno mi...

WSZYSCY,

Zgoda, zgoda — zezwalamy.

BOGUMIŁ.

Wpisz więc Roku pańskiego 1614 zarząd czynności

domowstwa braci Morawczyków, inaczéj Hernhutters
zwanych, oddany został: bratu Adolfowi z domu Rawicz,

W S Z Y S C Y.

Jemu,

A G N I E S Z K A.

Mojemu synowi.

B O G U M I Ę

Siostró, taka wola twoich braci, uleđz jéj potrzeba.

A G N I E S Z K A.

A więc cała przyszłość potomków świętego rodu!
tutaj zagrzebaną zostanie.

B O G U M I Ę.

A jakież inne gotujesz im przeznaczenie? Wygnańcy,
tułacze! Tutaj przynajmniej gdzie spoczywają popioły
ich rodzica, znajdą wsparcie i spokój.

A G N I E S Z K A.

Niech że i tak będzie.

B O G U M I Ę (*dyktując*).

Obadwaj Rawicze! całe swoje mienie jakie mają i
jakie mieć mogą, oddają dla dobra braci — na co nie-
winnemi przysięgają usta (*biorąc każdego z nich za*
rączkę) powiedz przysięgam!

Z D Z I S Ł A W I A D O L F.

Przysięgam!...

B O G U M I Ę.

Przyrzekają także, nie wchodzić w związki małżeń-
skie aż za moim zezwoleniem, które powinno nastąpić:
licząc od daty dzisiejszej aż dopięro, po upływie lat 20-tu
przyrzekają także, że wola moja wyrażona tutaj na wy-

padek méj śmierci, będzie skazówką dalszego ich postępowania. Pismo to złożone zostaje wskarbcu braci — zastrzegając pod przysięgą, że nie będzie czytaniem przez nikogo przed upływem lat 20-tu. Kluczyk szkatułki oddany zostaje w obec braci w ręce Ludmira — (*Ludmir odbiera*), i przelożony pod żadnym pozorem nie naruszy jój. Chłopcy, przysięgajcie!

ADOLF I ZDZISŁAW.

Przysięgam!

AGNIESZKA.

Cóż to za przysięga?

BOGUMIŁ.

Przysięga Morawczyka, której nic naruszyć nie zdoła, siostrze! w obu wpajać będziesz czyste zasady świętej wiary Chrystusa! niech pod twoim okiem wzmocni się i rozkwitnie młoda latorośl, a Ojciec ludów! niech zleje nam mądrość i błogosławaństwo swoje.

AGNIESZKA.

A Bronisława?

BOGUMIŁ.

O téj nic nie wspomniał umierający, ale z mocy woli mojej, oddaje postanowienie jój losu w ręce starszego brata Adolfa; on będzie jój wsparciem i obroną w Imieniu Wiclifa wzywam was, abyście poprzysięgli, szanować jego ustawy, nie znać zemsty w sercu, gardzić doczesnym zbytkiem, być równym bliźniemu, nie brać oręża do dłoni i opiekować się siostrą waszą: przysięgnicie po raz trzeci i ostatni.

ZDZISŁAW I ADOLF.

Przysięgam!

BOGUMIŁ.

Stało się — teraz mogę spokojnie umierać — bracia! zaprowadźcie siostrę Agnieszkę do grobu jej męża. Ludmirze pozostaj ze mną. Siostró idź — niech twoje czyste modły, wznosząc się do Pana zastępów, wyjednają spokój ceniom Małżonka.

AGNIESZKA (*zwolna się oddala prowadzona od Katarzyny i za nią wszyscy*).

SCENA 10.

LUDMIR I BOGUMIŁ.

LUDMIR.

Cóż rozkażesz bracie?

BOGUMIŁ (*który pieczętuje papier*).

Udasz się dziś jeszcze z tym papiérem do ziemi Zmudzkiej, na zamek Rawiczów; i tam starać się będziesz, pod jakim kolwiek bądź pozorem, zobaczyć z bratem Miłoszem; następnie oddasz mu to pismo — we dwóch postanowicie có wam dalej czynić wypadnie — jednak ani ty, ani on, nie możecie powrócić do braci naszych przed upływem lat 18-tu.

LUDMIR.

Boże! i dla czegoż? — za jaki występek, skazany jestem na takie wygnanie.

BOGUMIŁ.

Tu nie ma występku, nie ma przewiny — bracie — tu idzie o losy przyszłe braci twoich — może Wszechmocny dozwoli, że się jeszcze ujrzymy na tej ziemi — przebacz mi, nie pytaj się o nic więcej — ja spełniam wolę umierającego.

LUDMIR (*ocierając łzę*).

Dobrze, jestem posłuszny (*długi uścisk*) dasz mi przynajmniej poznać tajemnicę.

BOGUMIĘ.

Jest w twoim ręku; idź, idź posłanniku zgody, pomiędzy świat przewrotny; pieniądze weź ze skarbcu, ile miarkujesz że ci będzie potrzeba: więcej mówić nie mogę (*siada zakrywając oczy*).

LUDMIR (*zamierza odejść*).

SCENA II.

CIŻ, JOHAN, KATARZYNA, wielu Morawczyków, którzy niosą na wspólną omdloną Agnieszkę.

JOHAN.

Omdlenie gwałtowne, potrzeba ją przenieść w spokojne miejsce i niedozwolić żadnych wzruszeń.

LUDMIR (*wracając*).

Bracie ja nie mogę odejść, siły mnie opuszczają, już jestem zbyt stary, do tak dalekiej podróży.

BOGUMIĘ (*szybko*).

Masz słusność: a więc oddaj mi kluczyk i papiery.

LUDMIR.

I kogóż myślisz wysłać na mojem miejscu? (*oddaje*).

BOGUMIĘ.

To do mnie należy, dawaj tylko.

LUDMIR.

Lecz jeżeli....

BOGUMIŁ.

Milcz — zarządzaj Bracią aż do mego powrotu, niech wszystko tak będzie ułożone, jak dzisiaj postanowiliśmy. Z miejsca nowego mego pobytu, pisywać będę do ciebie; tobie jednemu, odkryję całą tajemnicę; ty nawzajem, donosić mi będziesz, każdą czynność braci, Agnieszki i jej dzieci.

LUDMIR.

Ależ?...

BOGUMIŁ.

Ciszej — rozkazuję ci — w twoje ręce powierzam ster zarządu, wkrótce więcej o mnie usłyszycie — (*przybiegając do omdlonój*) żegnam cię niewiasto! (*całując z uniesieniem dzieci*) bywajcie mi zdrowe — idę pracować, nad zgodą dwóch rodzin, (*do siebie*). Cieniu mojego brata! nie będziesz mi wyrzucał, że opieszale wykonywam ostatnie twoje zlecenie (*z uniesieniem*) bywajcie mi zdrowi ukochani bracia! bywaj szczęśliwe, lubę ustronfe. Królu Nieba i ziemi! dopomagaj zamiarom moim (*wybiega*).

LUDMIR.

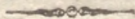
Wstrzymajcie go! on nas opuszcza!

WSZYSCY.

Nieba!...

AGNIESZKA (*przychodząc do siebie*).

Bronciu! Zdzisławie!... (*Kobiety zostają przy Agnieszce, wielu śpieszy wślad za Bogumilem. — Zastona zapada*).



A K T T R Z E C I.

S C E N A 1.

(Wolna okolica: w głębi ukazuje się dom mieszkalny, Braci Morawczyków; opodal widać mały grobowiec, w perspektywie przyległe miasteczko — z boku, po prawej aktorów, w ostatniej kulisie, furta — z przeciwnej strony, na przodzie sceny; wodotrysk, drzewo, przy nim stół kamienny i tawa. Za podniesieniem zastony, grupy Morawczyków, formują obraz — dziewczęta rozpoczynają tańce).

C H Ó R.

Niech każdy podziela
Milěj pary los.
Dziś jest dzień wesela
Wznośmy szczęścia glos.

Jak piękny dla nas dzień,
Jak miło podać dłoń,
Gdy ślubny wianka cień,
Ozdobia luběj skroń,

W tém spokojném siole
Bratniěj zgody wzór.
A w dziewiczém kole,
Czystěj cnoty zbiór!

Jak piękny dla nas dzień etc. etc.

S C E N A 2.

(Po tańcach: z domu widać wychodzących Agnieszkę, w ubiorze siostr *Hernhutters*; Bronisławę i Adolfa. *Adolf*, dorosły młodzieniec; krok powolny, godność w całym obejściu. *Bronisława*, równie przyjemna dziewczyna — *Adolf* postępuje z księgą w rękę).

AGNIESZKA.

Synu! cóżeś tak zamyślony? dla czego nie podzielasz powszechnej wesołości — nie słyszy mnie.

BRONISŁAWA.

Bracie, tyś smutny, kiedy wszyscy oddajemy się wesołości.

AGNIESZKA.

Czyż nie cieszy cię małżeństwo *Zdzisława*, które tak wesoło wszyscy obchodzimy.

BRONISŁAWA.

Bracie *Adolfie*! czy nie słyszysz, że już od godziny mówimy do ciebie? a to pięknie, zobaczysz, że się rozgniewam.

ADOLF (jakby przychodził do siebie).

Ah! to wy! wybaczcie; zaczytałem się w tej księdze prawdziwej mądrości, i zapomniałem...

BRONISŁAWA.

Zapomniałeś o matce, o siostrze, o *Zdzisławie* i jego szczęściu!

ADOLF.

Nie *Bronisławo*, ale przypomniałem sobie, że dziś właśnie nadeszła chwila, w której wedle woli szanownego *Bogumila*; ma się rozwiązać tajemnica zagadka, i

sam nie wiem czemu, co raz więcéj, staje się niespokojnym.

AGNIESZKA.

Czegóż możesz się obawiać?

ADOLF.

Nie wiem (*składa księgę na stole, i siada w zamyśleniu*).

BRONISŁAWA.

Ah bracie! rozpogódz chmurne czoło; czyliż nie powinniśmy być weseli, szczęściem Zdzisława,

ADOLF.

Dziś upłynęło lat 18-cie.'

AGNIESZKA.

Więc to już 18 lat, jak znajduję się w tém cichem ustroniu; 18 lat, jak szwagier Bogumił, opuścił nas; nie wiedząc gdzie, i dokąd,

BRONISŁAWA.

Matko, bracie, spójrzyjcie. Otóż i Zdzisław, zbliża się ze swoją żoną.

ADOLF (*d. s.*)

Jak on jest szczęśliwy!

AGNIESZKA (*do Zdzisława*).

Chodźcie dzieci, niech udzieli wam, błogosławieństwo.

S C E N A 3.

CIŻ ZDZISŁAW, MARTA jego żona, LUDMIR i wielu
innych ukazują się z głębi.

C H Ó R.

Jak piękny dla nich dzień,
Jak miło podać dłoń,
Gdy ślubny wianka cień,
Ozdabia lubój skroń.

*(Tańce młodych siostr Morawczyków, mężczyźni do-
rośli, nie tańczą wcale).*

W tém spokojném siole,
Bratniej zgody wzór.
A w dziewiczém kole,
Czystej cnoty zbiór.

I błogi temu dzień,
I miło podać dłoń,
Gdy ślubny wianka cień,
Ozdobi lubój skroń.

Z D Z I S Ł A W.

Matko! Bracie! błogosławcie nam.

A G N I E S Z K A.

Nie słowy, ale sercem; przekazuję wam dzieci mo-
je błogosławieństwo; idźcie w spokoju, otrzymać błogo-
sławieństwo kapłana.

Z D Z I S Ł A W.

A ty bracie, czy nie będziesz nam towarzyszył?

A D O L F,

Możesz że wątpić.

LUDMIR.

Jest to pierwszy przykład, że za obrębem naszego domóstwa; brat nasz, idzie otrzymać, ślubne błogosławieństwo; ale stało się — taka była wola, brata Bogumila; szanujmy ją święcie.

ADOLF.

A ja, czy nie dotrzymałem wam, wszelkich przyrzeczeń; czy możecie uważać się, że człowiek, różny od was, w dogmatach wiary; przełamał choć w części, mądre przepisy Wiclifa.

WSZYSCY.

Nie, nie.

LUDMIR.

Wola nieobecnego, stała się dla nas prawem; on nam rozkazał, szanować was; gdyby więc dziś powrócił, powiedz mu bracie: że nic nie zostało naruszone, z jego....

ADOLF.

Bracie! więc wiesz pewno, że powróci?

AGNIĘSZKA.

Boże! jakże pragnę tej chwili.

WSZYSCY.

On powróci! powróci...

LUDMIR.

Bydź może — nie należy więc wszystkim oddalać się z domóstwa; a przynajmniej, zastępcą przełożonego, pozostać powinien — ja pójdę na twoje miejsce; siwizna, co bieli moje włosy; doda więcej powagi, tej młodej parze.

ADOLF.

Idźcież więc z Bogiem (*ściska Zdzisława i jego żonę*).

BRONISŁAWA.

Matko, ja pozostanę z starszym bratem, on jest smutnym, może słaby?

AGNIESZKA.

Dobrze, droga Bronisławo pozostań; przyjmiecie nas z chlebem i z solą. Obym i ciebie wkrótce pobłogosławić mogła.

BRONISŁAWA.

Dziś wieczorem dowiemy się przecie, co postanowił względem mnie, brat Bogumił (*odchodzą furta*).

Chór jak wyjęj: muzyka).

S C E N A 4.

ADOLF I BRONISŁAWA (*u furty*).

BRONISŁAWA.

Tylko prędko powracajcie (*słychać w oddaleniu ostatnie słowa chóru*).

ADOLF.

Dla czegoż? smutek chmurzy moje czoło, gdy wszyscy się weselą; dla czego łza, gwałtem cisnie się do oka, i nie pokój ogarnia duszę: jest że to przecuciem, że dzień dzisiejszy, odbierze mi na zawsze szczęście i spokój? ale nie; ta uroczystość zaślubin Zdzisława, ta nie zwykła wesołość, zamieszała mój spokojny umysł. Nie dla mnie, podobne gody — ah! czuję, jak serce się ściska; ale precz niegodne myśli.... przed samym sobą się rumienię.

BRONISŁAWA.

Adolfie! czy nie przemówisz do mnie ani słowa?

ADOLF.

Ona tu!...

BRONISŁAWA.

Widzisz, zostałam przy tobie — brat Zdzisław jest tak szczęśliwy, wesóły, nie będzie nawet uważał, czy jestem obecna.

ADOLF.

To zle Bronisławo, należało ci pójść z matką.

BRONISŁAWA.

A ty miałeś sam pozostać.

ADOLF.

Jeszcze kilku braci, pozostało w domowstwie.

BRONISŁAWA.

Tak, to są chorzy, i ci, którym dzisiaj wypadł nad niemi dozór — a gdybyś przypadkiem zasląbł.

ADOLF.

Co za myśl, wszakże widzisz, że się mam zupełnie dobrze.

BRONISŁAWA.

Nie zwiedzisz mnie, ja temu w żaden sposób uwierzyć nie mogę.

ADOLF.

Bronisławo sama się zwodzisz, patrz mi w oczy; o tak: czy widzisz niepokój w mojem spójrzeniu?

BRONISŁAWA.

Widzę boleść, rozlaną na twarzy ukochanego brata.

A D O L F.

Otóż cię przekonam mała psotnico, że się mylisz.

B R O N I S Ł A W A.

A kiedy to nie prawda.

A D O L F (*chcąc coś powiedzieć*).

A więc (*zimno*) siadaj przy mnie.

B R O N I S Ł A W A.

Dobrze, ale daj słowo, że mi powiesz, co ci dolega.

A D O L F.

Chcesz że koniecznie wiedzieć.

B R O N I S Ł A W A.

Muszę.

A D O L F.

A więc.... to ty siostró, jesteś przyczyną mojego zmartwienia.

B R O N I S Ł A W A.

Ja!

A D O L F.

Ty sama.

B R O N I S Ł A W A.

Ah! powiedz, powiedz czém cię mogłam obrazić.

A D O L F.

Dla czego nie chcesz iść za mąż?

B R O N I S Ł A W A (*śmiejąc się*).

Śmiesznym jesteś?

A D O L F.

Nie żartuj siostró — ja mówię szczerze.

BRONISŁAWA.

Czy zapomniałeś, że mój wybor nie ode mnie zależy.

ADOLF.

Wiem, co chcesz przez to powiedzieć; przypominasz mi: że podług rozkazów stryja, ja sam mam rozporządzić twojém sercem.

BRONISŁAWA.

Mylisz się.

ADOLF.

Jako? nie chcesz mi być posłuszną.

BRONISŁAWA.

Zawsze, we wszystkiém, kochany bracie, ale...

ADOLF.

I cóż?...

BRONISŁAWA.

Wszakże podług rozkazu stryja, stałe postanowienie mojego wyboru, dopiero dzisiaj ma być świadomém,

ADOLF.

Lecz jeżeli już kochasz?

BRONISŁAWA.

A kiedy ja nie kocham.

ADOLF.

A ten biedny Karol, który ciągle myśli o tobie,

BRONISŁAWA (*naiwnie*).

I ja o niém myślę.

ADOLF (*z trwogą*).

Więc go kochasz?

BRONISŁAWA.

Jak wszystkich moich braci.

ADOLF (*weselój*).

To nie dosyć Bronisławo! potrzeba abyś została jego żoną.

BRONISŁAWA.

Czy taka wola twoja, Adolfie!

ADOLF.

Nie inaczej.

BRONISŁAWA (*powstając, dotyka palcem książki*).

Brat Morawczyk, może tylko zaślubić dziewczę, swego wyznania.

ADOLF.

Taką rzeczą sestro, nie znajdziesz po między Morawczykami, męża dla siebie.

BRONISŁAWA.

To właśnie moje życzenie.

ADOLF.

Chcesz że więc pozostać dziewczącą?

BRONISŁAWA.

I czyliż nie jestem szczęśliwą — mam matkę, ciebie, Zdzisława; nie jest że to wystarczajacem, do mojego szczęścia.

ADOLF.

Nie sestro, kobieta ma inne obowiązki, natura kała jój zostać matką, osładzać życie, drugiej połowie rodu ludzkiego; biada niewieście, której serce zimne, nie jest zdolne zrozumieć, uczuć, rzetelnój miłości.

BRONISŁAWA.

Ale jeżeli nie znajdzie się człowiek, któryby umiał wzbudzić w nas to uczucie.

ADOLF.

Więc ty siostrze, zupełnie jesteś spokojna? więc żaden z naszej młodzieży, nie obudził w twym sercu, choć przez krótką chwilę, najmniejszego śladu tego uczucia?

BRONISŁAWA.

Zaczekaj — rozważę — nie.

ADOLF (z uczuciem).

Nie.

BRONISŁAWA (niewinnie).

Jak cię kocham! nie.

ADOLF.

Aniele czystości, w twojem błogiem spójrzeniu, przebijają się cała dusza; lubię cię słyszeć, patrzeć na ciebie,

BRONISŁAWA (j. w.).

A ty Adolfe! czy kochasz?

ADOLF (zmieszany).

Ja!

BRONISŁAWA.

Jakże dziwnie wymówiłeś to słowo „Ja“ możnaby myśleć że cię rozgniewała.

ADOLF.

Nie siostrze — ale — nie zadawaj mi nigdy podobnego pytania.

BRONISŁAWA.

Nie dobry — wszystko cię dzisiaj gniewa;

A D O L F.

Oh! wszystko, ale nigdy ty, ale nigdy nasza dobra matka i kochany Zdzisław.

B R O N I S Ł A W A.

Ty cierpisz Adolfie, a niechcesz powierzyć zmartwienia; ani Matce, ani mnie.

A D O L F.

Posłuchaj siostrze: jesteśmy szczęśliwi, w pośród ludzi kochających nas czule; w moim ręku, całe ich mienie — a jednak, obcy pomiędzy niemi. Grób ojca! wola stryja, nieszczęścia matki, ustaliły nas tutaj. Jednak; czy myślisz, że ci ludzie nie patrzą z zawiścią, że inni wyznawcy, pożywają ich chleb.

B R O N I S Ł A W A.

Co to za myśli Adolfie, nie pracujemyż usilnie każde z nas, dla dobra ogółu; ty prowadzisz układy z kupującymi, ja trudnię się szyciem, Zdzisław doskonałym jest stolarzem, a matka trudni się wychowaniem małych dzieci.

A D O L F.

Prawda, powinniśmy ich kochać, być szczęśliwi, a jednak; Bronisławo! ja, zastępca przełożonego, uczuвам nieraz ból w sercu, jakąż przeszłość dla ciebie? nie pójdziesz nigdy za mąż.

B R O N I S Ł A W A.

Znowu wracasz do dawnego.

A D O L F.

Oh! bo cię kocham Bronisławo, dla ciebie jednej, pragnąłbym odzyskać, wydarte rodzicom naszym mienie!... nie dla mnie, przysięgam! ja, duszą i ciałem trzymam

się mądrych zasad Wiclifa; za nic w świecie, nie zmienilbym tego spokojnego życia.

BRONISŁAWA.

I któż ci powiedział, że i ja, twoja siostra, nie podzielam tych zasad — chcesz że mnie rzucić w świat, ażeby umarła z nudów i tęsknoty? ja nie chcę znać innéj miłości, nad przywiązanie Morawczyków — ah! przyrzeknij mi, że nigdy więcej nie będzie mowy, o tym wielkim świecie; na którego wspomnienie; trwoga mnie ogarnia.

ADOLF.

Życie bez nadziei!!

BRONISŁAWA.

Życie, pełne rozkoszy, na łonie przyjaciół, oh! nie myśl inaczej, bo uwierzę że przestałeś mnie kochać.

ADOLF.

Ja ciebie.... (*przyciskając ją do piersi*). Chyba wraz z życiem (*nagle*) odejdziesz, odejdziesz!

BRONISŁAWA.

Odpychasz mnie?

ADOLF.

Odejdziesz! chcę sam pozostać.

BRONISŁAWA.

O mój Boże! co się z tobą dzieje (*placząc*) czémże mogłam obrazić? (*odchodzi za furkę*),

SCENA 5.

ADOLF (*sam*).

Jakiż ciężar przytłacza moje piersi, jeszcze nigdy

przyciskając ją do serca, nie doznałem tak żywego wzruszenia. Wszchemocny Boże! jakież to płomień mnie pożera, sama myśl już jest zbrodnią — a nie mogę jej odalic, ab uciekajmy, uciekajmy... z tych miejsc.

S C E N A 6.

ADOLF BRONISŁAWA.

BRONISŁAWA (*nagle wbiega przestraszona i zamyka za sobą furtę*).

Bracie, bracie!!

ADOLF (*objętnie*).

Czego chcesz?

BRONISŁAWA.

Jakiś człowiek, okropnej postaci, stoi przy furtce; chodź, zobacz!

ADOLF.

Czy się lękasz ludzi — może który z kupców?

BRONISŁAWA.

Ja nie wiem — ale być może, bo pytał się o przełożonego.

ADOLF.

I czegoż drzysz cała?

BRONISŁAWA.

Ty się gniewasz na mnie (*słychać stukanie*) mamże otworzyć?

ADOLF.

Dziwne pytanie, czyż domowstwo nasze hywa zamkniętém przed bliźnym (*mocniej pukanie*) otwórz przedzój!

BRONISŁAWA.

Tak ostro do mnie przemawiasz, (*idzie do furty — tymczasem Adolf siada na ławie i otwiera księgę jak-by czytał*). Wejźdź bracie, proszę.

S C E N A 7.

CIŻ I RODOLF (*włos pokryty siwiźną, zmieniony na twarzy, okryty płaszczem; pod spodem ubior jak w pierwszym akcie (d. s.)*). Więc to tu — (*głośno*).

Czy to jest siedziba, braci Morawczyków; zwanych Hernbuters?

BRONISŁAWA.

Tutaj bracie.

RODOLF.

Bracie, mile przywitanie; lecz bierz licho wasze zwyczaje — czy jesteś jedną z siostr... (*pauza*) no cóż? tak — nie?

BRONISŁAWA (*łękliwie*).

Nasz przełożony brat, jest tutaj; proszę, pomówcie z nim.

RODOLF.

Chciejcie mi powiedzieć, czy mogę mówić z przełożonym zgromadzenia?

ADOLF.

Ja nim jestem.

RODOLF.

Wy!?

ADOLF.

Tak jest — jakież powód tutaj was sprowadza?

RODOLF.

Jasne pioróny! jaki powód?

ADOLF.

Czy żądacie nabyć od nas skór, płutna; lub innych wyrobów?

RODOLF.

Być może — jednak wprzódby chcę się zapewnić, czy rzeczywiście, mówię z głową zgromadzenia?

ADOLF.

My nie znamy fałszu; tylko na wielkim świecie, ludzie, pragną uchodzić za coś więcej, aniżeli są w istocie.

RODOLF (z niedowierzaniem).

Taki młokoś — głową Morawczyków.

ADOLF.

Mój bracie, długa broda i siwiźna, nie zawsze są oznaką rozumu; nakoniec, czego chcecie?

RODOLF.

A więc; kiedy w istocie jesteś przełożonym — przystąpmy krótko, zwięzle, do rzeczy. Chcę pomówić z tobą, sam na sam.

ADOLF.

Siostró, oddal się. (*Bronisława odchodzi*).

SCENA 8.

ADOLF I RODOLF.

RODOLF (*d. s.*).

Ten chłopak nie podoba mi się.

ADOLF.

Słucham was.

RODOLF.

Jestem szlachcic, z ziemi Zmudzkiej; i przybywam tutaj: upomnieć się o syna.

ADOLF.

Wy! o syna! u nas?

RODOLF.

Jasne pioróny! tak o syna; który wedle wszelkiego podobieństwa, tu się ma znajdować.

ADOLF.

Człowieku jesteś w błędzie.

RODOLF.

Nie, jasne pioróny! nie; i ten syn musi mi być natchmiast wydanym: przeczytaj to pismo (oddaje).

ADOLF (czytając).

„Na dniu 15-tym 1632 roku: pojawi się u was mili bracia, człowiek; który upominać się będzie o swego syna. Przełożony, po odczytaniu papierów, zawartych w skarbce, przechowywaney w skarbcu; sam oceni, czy ma powrócić stratę, upominającemu się, lub czy ten syn, i nadal, pozostanie bratem Morawczykiem. podpisano
„Bogumił.“

RODOLF.

Zrozumiałeś?

ADOLF.

Dziwnie — pismo znane; to ręka brata Bogumiła, którego ja miejsce zastępuję; znam ją dobrze — i dziś właśnie dzień, w którym według jego zlecenia; tajem-

nica szkatulka, ma być otwartą: lecz to dopiero nastąpi wieczorem.

R O D O L F.

To musi mieć miejsce natychmiast, w tej chwili — ja tak chcę.

A D O L F.

Zwolna, zwolna przyjacielu, u nas nie ma znaczenia, wola obcego człowieka; szkatulka może być odkrytą tylko, w obec całego zgromadzenia; taka jest wola brata Bogumiła.

R O D O L F.

Ja nie znam, waszego brata Bogumiła — on tak dobrze może mnie zwodzić swoim pismem; jak i wy waszą zwłoką; ale jasne pioróny! nie na to przybyłem z tak daleka, aby odjechać jak dudek z kwitkiem; i jeżeli zachodzi oszustwo, to jasne pioróny!...

A D O L F.

Czego złorzeczysz. Ani my, ani brat Bogumił, nie zespeczi się kłamstwem; bo uczy nas wiara. „Nie kłam, jeżeli chcesz wiary od brata twego“ — bądź więc spokojnym, i czekaj.

R O D O L F.

A ja ci powiadam — że nie umiem czekać.

A D O L F.

Czy myślisz przyjacielu, że ja nie podzielam twojej niecierpliwości. W tej szkatulce zawarte mają być i moje losy: a widzisz, że czekam cierpliwie; patrz, kluczyk jej wisi na mojej piersi; potrzebowalbyśmy tylko pójść i otworzyć, a nie uczynię tego; bo świętą dla mnie wola brata Bogumiła.

R O D O L F.

Jasne pioruny! otworzysz natychmiast — tu idzie o krew szlachetną, która się u was poniewiera, o krew mojego syna, o krew Rodolfa Holdensztern!

A D O L F.

Rodolf Holdensztern!

R O D O L F.

Tak, ja nim jestem: i przychodzę upomnieć się o syna.

A D O L F (*załamując ręce, z okiem w niego nieruchomo wlepioném*).

Zbawicielu świata!

R O D O L F.

Czy ci znajome moje nazwisko?

A D O L F.

Tak!

R O D O L F.

A więc niech dłużej nie czekam; chwila prędkiej, chwila później, mało dla was stanowi; ale dla serca ojca wiele — gdzież mój syn?

A D O L F.

Niewiem.

R O D O L F.

Młokosie, szydzisz ze mnie.

A D O L F (*jakby odurzony*).

Po cóś tu przybył?

R O D O L F.

Syna! syna! pociechy na starość, jeżeli to prawda, że on się znajduje pomiędzy wami — niech się zbiorą

wszyscy, a pomiędzy tysiącem go rozpoznam. — I czego wzrok twój utopiłeś w mojej twarzy.

ADOLF (*jakby do siebie*).

Mój biedny ojciec! moja matka!

RODOLF.

Jasne pioróny! czy ogłuchłeś? syna!

ADOLF (*z wolna biorąc Rodolfa za rękę, prowadzi na środek sceny, ukazując w głębi mały grobowiec*).

RODOLF.

Czy zmysły postradał.

ADOLF.

Patrz: to grobowiec mojego ojca, a przed tobą, stoi potomek Rawiczów.

RODOLF.

Jasne pioróny! — czy to sen? zaczynam wierzyć, złowrogie przecucie mnie ożywia, mój syn! on tu jest! w twojej mocy jego mienie — oddaj mi syna!

ADOLF (*wracając na miejsce*).

Ja nie znam go.

RODOLF.

Kłamiesz młodziku, kłamiesz!

ADOLF.

Oddal się, niech nie widzę twego oblicza.

RODOLF.

Wściekłość mnie ogarnia, nie rozjątrzej wroga — żelazem dopytam się prawdy?

ADOLF.

Przyjacielu, czego chcesz ode mnie!

R O D O L F.

Ta zimna krew zabija mnie — prawdy! syna — albo....

A D O L F.

Stoję bezbronny.

R O D O L F.

Długo kartowaliście zemstę waszą, ale nie ze mną podobna igraszka — dopytam się prawdy.

A D O L F.

Nie przeczę.

R O D O L F.

Oddaj syna powiadam, albo z bronią w ręku zakończymy tę sprawę — bić się będę za moje dziecię, lub za przedajne oszustwo. Z roskoszą zakończę życie, mszcząc się na synu dawnego wroga.

A D O L F.

Ja nie mogę przyjąć wyzwania.

R O D O L F.

Młokosie! wążła dłoń twoja, ledwo księgę utrzymać potrafi... a więc drzyj... krwi twojej zapragnę.

A D O L F.

Jestem Morawczykiem i święcie szanuję nasze ustawy; na téj księdze, dziecinnemi usty wykonałem przy sięgę.

R O D O L F.

Powiesz prawdę; czy mam jeszcze syna lub nie... albo...

A D O L F.

Nie wiem przyjacielu — za chwilę....

R O D O L F.

Bierz broń! broń do ręki... chcę krwi twojej!

A D O L F.

Przyjacielu! posłuchajcie głosu rozsądku, włos wasz posiwał, a serce i głowa wrzące; nie dają przystępu rozwadze. Mnież to przynależy dawać wam nauki, i dla czego wyzywacie mnie do walki.

R O D O L F.

Bo przeczuwam, że łagodnością nic zyskać nie potrafię; bo na widok Rawiczów, krew burzy się we mnie.

A D O L F.

Przyjacielu! możesz mnie zabić; bo bezbronny stoję przy tobie, ale zmusić do złamania przysięgi, trudno ci będzie.

R O D O L F.

Zobaczymy, zobaczymy!

A D O L F.

Kiedy w czasie prześladowań, wódz nasz, mianem *Ziska*: szedł przeciw Czechom, w obronie praw braci Morawczyków. Ogół po przejściu burzy, poprzysiągł wierzycie, zamknąć się w obrębie cichego ustronia; szanować krew bliźnich, a nawet ukochać wroga; dla tego ja, szanuję ciebie.

R O D O L F.

Syna mi powróć, a ja ci podam bratnią prawicę.

A D O L F.

Chętnie, jeżeli to ode mnie zależyć będzie.

R O D O L F.

Od ciebie jednego, tak opiewa list pisany do mnie

nie znaną mi ręką, tak wyraża to pismo, które ci wręczyłem.

A D O L F.

Czekajmy aż powrócą bracia; w obec nich, wolno mi będzie otworzyć, tajemnicą szkatułkę.

R O D O L F.

Jasne pióróny! to jest oszustwo, a twoja mowa, wykrętu ma cechę; bądź co bądź: chcę krwi twojej, stań do obrony (*szarpie mu rękę*).

A D O L F.

„I nie wódz nas na pokuszenie.“

R O D O L F.

Słyszałeś! słyszałeś! tchórzku nikiemny, w którym spodłona krew ojca płynie.

A D O L F (*niemą grą wyraża oburzenie*).

R O D O L F.

Oto stoi człowiek przed tobą, który z hanbił twoją matkę, za którego staraniem wygnani zostaliście z kraju własnego — czy nie czujesz obrazy i krzywdy ci wyrażonej.

A D O L F (*z tłumionym głosem*).

Oh! czuję! czuję: możesz to poznać, po natężonych żyłach, które biją na licu; po tej walce wewnętrznej, której pokryć nie umiem.

R O D O L F.

Przecież.

A D O L F.

Czuję, że szatan stanął przede mną; aby obudzić przygasłą dumę w sercu młodzieńca. — Wrogu rodziny!

ty, coś piętnem hańby! skaził świetne imię Rawiczów! szukasz we mnie mściciela... niech się więc spełni żądanie twoje.

RODOLF.

Oddaj mi syna.

S C E N A 9.

CIŻ I BOGUMIŁ *(wchodzi furką, i staje w głębi przy grobie brata).*

ADOLF *(mówiąc dalej coraz z większym zapalem).*

Patrz! ten skromny ubiór, który pokrywa moje barki, tłumił dotąd wzrastającą niekiedy dumę, i zawiesz dla wroga; ale w tej chwili, przestaję być panem siebie; precz ode mnie księga mądrości, spokojnych ustaw; precz święta bratnio! jestem człowiekiem tobie podobnym — Upominam się więc o wydarte mienie, o mój honor i honor rodzica! ja chcę znaczenia, wielkości! próżność mnie pożera.

RODOLF.

Dobrze! dobrze!

ADOLF.

Nie dla mnie zastępstwo Wiclifa! nie dla mnie nikczemne rzemiosło szewca; w którym kształconą moją młodość. Czy wiesz o tém? — wrogu! ta dłoń szlachetna, potomka Rawiczów! splamioną została, dratwą i pocięglem; ale dzisiaj, ja požadam broni — broni! przeciw nikczemnikowi! Za cześć matki, krzywdy ojca! całość brata i siostry!... Chodź! chodź! ta wątła ręka, potrafi dźwignąć szablę.

RODOLF.

Wychodź! wychodź!

ADOLF.

Tu przy grobie Ojca, za jego krzywdy.

BOGUMIĘ (*szybko zastępując im drogę*),
Wstrzymajcie się.

RODOLF I ADOLF.

Precz od nas!!

BOGUMIĘ.

Wstrzymajcie się powtarzam: dosyć zgorzenia.

RODOLF.

Któż ty jesteś — czego chcesz?

BOGUMIĘ.

Jestem Bogumił Rawicz! brat zmarłego.

RODOLF.

Ty!

ADOLF.

Mój stryj!

BOGUMIĘ.

On sam — uspokójcie się; 18 lat oczekiwałem na to widowisko — a dziś mogę powiedzieć: dostatecznie brat pomścił brata. Tomasz! spójrzaj z górnych stron, wszakże ci wiernie dochowałem przysięgi.

RODOLF.

Co on mówi.

BOGUMIĘ.

Pozdrawiam was szlachetny Holdenstern, w siedzibie Morawczyków — czy przychodzisz tutaj upomnąć się o syna?

RODOLF.

Jakaż twoga mnie ogarnia.

BOGUMIŁ.

Nie umiesz odpowiedzieć, czy mój widok tak się pomieszał, czy wspomnienie brata?

ADOLF.

Stryju nie przedłużaj męki, daj mu poznać...

BOGUMIŁ.

Milcz... nie do ciebie się odzywam, nie do ciebie ostre słowo; tobie dłoń bratnia, dłoń przyjaciela. — Cóż milczysz, czy słów zapomniałeś? bitny Rodolfie.

RODOLF.

Krwawy pot rosi mi lica.

BOGUMIŁ.

A więc ja mówić będę.

SCENA 10.

ADOLF, BOGUMIŁ, RODOLF I BRONISŁAWA (*w głębi*).

BRONISŁAWA (*d. s.*).

Jeszcze ten nieznajomy,

BOGUMIŁ.

Rodolfie! mija lat temu 18-cie, jak chęć wywyższenia podala ci myśl; która twojej zguby i wygnania z kraju, stała się przyczyną.

RODOLF.

Nie wspominaj.

BOGUMIŁ.

Jeżeli chcesz przycisnąć do swojej piersi syna, nie przerywaj mi. On żyje, i może być ci wróconym — ale zapowiadam; że groźbą nic zyskać nie zdołasz.

R O D O L F.

Mów więc, mów.

B O G U M I Ę.

Na szczęście naszej rodziny; mój brat odkrył prawdę, i nie przeczę; zyskał słuszną zemstę twoją — ale należało okazać ci się człowiekiem, tak jak okazałeś się próżnym i przebiegłym. Biedna żona, dzieci; nie mogą, i nie powinny, odpowiadać za błędy ojca.

R O D O L F.

A Adelajda, którąm pozostawił konającą w ręku zawistnych, a mój syn, który zostawał w ręku Karola Księcia Sudermanij, i który jak mi doniesiono, w męczarniach zakończył życie.

B O G U M I Ę.

Kłamiesz! ludzie nie mszczą się na dziecięciu — mylnie ci doniesiono: twój syn dostał się w ręce mego brata — on czuwał nad jego całością, i wychował razem ze swojemi synami.

R O D O L F.

Więc on żyje!

B O G U M I Ę.

Słuchaj dalej — kiedy fałszywa pogłoska, o niewiarze małżonki, doszła do uszu nieszczęśliwego mego brata. Już wtedy rozpacz nie miała granic, i ten człowiek, który mężnie zniósł niełaszkę Zygmunta; wygnanie z kraju, utratę żony i dziecięcia, które w łonie swoim nosił; nie mógł przenieść bezkarnie téj myśli, że ona z tobą podzielał roskosz, że zapomniała obowiązków matki! a bezwstydem okrywa dwa świetne rody — wówczas mówię; biedny brat, poprzestał być panem siebie, zapragnął tajemnie wrócić do kraju, dostać się do

was i krwią się waszą nasycić. W tym celu, umyślił mnie powierzyć, owe troje dzieci pomiędzy którymi i twój syn się znajdował. — Widzisz więc, że tyle szlachetności znajdowało się w tym biednym człowieku, że na dziecięciu wroga, pastwić się nie potrafił.

RODOLF.

Daléj — kończ.

BOGUMIŁ.

Najmłodszy z jego synów, nie wytrzymał jednak trudów, długiej podróży, i zasnął snem wiecznym Aniola: a nieszczęśliwy brat, z dwójgiem tylko dzieci, zakołatał do téj spokojnej ustroni — mamże ci opisywać jak go przyjąłem — ja — jego brat, który w nim położyłem, wszystkie moje widoki, całą dumę. — Oh! odtąd wspólnie z nim, z nienawidziałem cię; przeklinałem ciebie i twoją kochankę (*pauza*) wkrótce umarł — patrz, tu jego wznosi się mogiła — a tu (*pokazując na serce*) jego nienawiść dla ciebie. — Umiérając odkrył mi tajemnicę; który jest jego synem, a który synem wroga; ta tajemnica, przez lat 18-cie, zachowywaną została w skatułce, na przypadek méj śmierci; a co do mnie, porzuciłem skromny ubior Morawczyka, aby czuwać przy tobie. — Nadszedł czas, wyrachowanej zemsty; dziś mogę powrócić ci syna, bo ten chłopiec; duszą i ciałem, został Morawczykiem; bo nauczył się kochać całém sercem, twoich wrogów i przez niego; spokój między tobą a nami zawita (*do Adolfa*), Adolfe Holdensztern! uścisknij stopy twojego rodzica.

RODOLF.

Nieba!

ADOLF.

Co!

BRONISŁAWA.

Ah!

BOGUMIĘ.

On twoim ojcem!

ADOLF (*pada omdlony*).

(*Adolf leży omdlony na ławie, Bogumił stoi w środku pogrążony w myślach — Rodolf jakby skamieniały, z wzrokiem wlepionym w syna, którego Bronisława trzezwi*).

BRONISŁAWA.

Adolfie! Adolfie! o mój Boże! on umiera — stryju, stryju — dopomóż mi.

BOGUMIĘ (*idąc do Bronisławy*).

To Bronisława — owe lube dziecię.

RODOLF (*jakby do siebie*).

On moim synem! (*nagle*); lecz to może być fałsz, podstęp.

(*Słychać w oddaleniu powracających od ślubu*).

BOGUMIĘ.

Znamie po niżej biodra, przekona cię o prawdzie.

BRONISŁAWA.

O mój Boże! więc on nie jest moim bratem.

RODOLF (*przybiega do Adolfa — odpycha Bronisławę, która ucieka do Bogumita*).

Tak, tak to wszystko prawda — poznaję, to krew Adelajdy — Mój syn! mój syn — z którym się mierzyć chciałem. — Boże! Boże! serce ojca czyliż nie zadrzało przecuciem — synu patrz! twój rodzic na klęczkach przed tobą — tyś mój syn! ty będziesz osładzać moją sta-

rość — o wyciągnij do mnie dłoń twoją — uścisku, jednego uścisku!

BOGUMIŁ (*do Bronisławy, wskazując na Adolfa*).

Czy kochasz go?

BRONISŁAWA.

Słyszałam wszystko mój stryju. Nie mogę przestać kochać!

ADOLF (*zbierając zmysły*).

Czy to sen? (*do ojca*) Ojczy przecz mi.

RODOLF.

I cóż ci mam przebaczyć? Uciekajmy ztąd synu, prawdę powiedziałaś. Nie dla ciebie ubogie mienie, dla ciebie, sława, zaszczyty, bogactwa!

SCENA 11.

CIŻ I GRONO WESELNE, AGNIESZKA, LUDMIR
I ZDZISŁAW.

BOGUMIŁ (*biorąc rękę Bronisławy*).

Dla niego Bronisława, córka Rawiczów... ciche szczęście, na łonie przyjaciół.

ADOLF.

O dobry Boże! więc moja miłość, nie było zbrodnią!

LUDMIR (*poznając Bogumila*).

Otóż on! powrócił.

GRONO WESELNE.

Bogumił! Bogumił!

AGNIESZKA.

Mój przyjacielu! (*wszyscy cisną się do Bogumila*—

Zdzisław, jego żona, Adolf i Bronisława tworzą osobną grupę: Agnieszka zbliża się do nich i spotyka się ze wzrokiem Rodolfa).

RODOLF (z postanowieniem).

Nie, to być nie może, mój syn Morawczykiem! mężem córki wroga! nigdy! Jasne pioruny nigdy!...

AGNIESZKA (poznawszy go).

Ah to Rodolf! (na krzyk matki, dzieci biegną na jej ratunek — Bogumił staje obok Rodolfa).

RODOLF.

Nieba! Agnieszka.

AGNIESZKA.

Czego chcesz, ty! na którego wspomnienie wszystka krew burzy się we mnie. Dla czego przychodzisz mieszać mój spokój i spokój dzieci moich?

BOGUMIŁ.

Ciszej sestro! przeszłość zagrzebaną została w niepamięci, (prowadząc Adolfa i Bronisławę) a te dwoje dzieci, rękojmą waszej zgody.

AGNIESZKA.

Co mówisz?

RODOLF.

Nie tak rączo; na zamku Rawiczów weselne gody dla mego syna, ale nie z córką wygnańca.

ADOLF.

Ojcze! i toż jest słowo pociechy, które z ust waszych słyszę — czy żądacie ażebym złorzeczył szczęśliwemu odkryciu, które wraca mnie w objęcie rodzica — Panie i ojcze! ja kocham tę dziewczynę, całą młodość spę-

dzilem z tą lubą bratnią; z tą szlachetną matką, która mnie jak syna do swego tuliła łona; a ty! pragniesz, abym im złorzeczył.

RODOLF (do Bogumiła).

O srogo się pomścileś — teraz dopiero uczuwam.

AGNIESZKA.

Ale czy mi nikt nie powie co to znaczy?

ADOLF.

To znaczy, matko, że cię kocham; że zawsze pragnę pozostać twym synem.

BOGUMIŁ.

Przebacz siostrze, wychowałaś męża dla Bronisławy; wychowywałaś syna Rodolfa Holdensztern — taka była wola twojego małżonka.

AGNIESZKA,

Nieba! a mój syn?

BOGUMIŁ.

Ciszéj, wkrótce dowiesz się o wszystkiém; ale oto i Miłosz.

SCENA 12.

C I Ż I M I Ł O S Z.

BOGUMIŁ I RODOLF.

Miłosz.

WSZYSCY.

Miłosz!

BOGUMIŁ.

I cóż, z czém przybywasz?

MIŁOSZ.

Później z wami, — później nacieszę się z bracią! teraz do was Starosto. Jako wasz dworzanie, smutną przynoszę nowinę; nie macie po co wracać do zamku. Król Zygmunt zakończył życie, a krewni Rawiczów, wymogli zwrot majątków po zgasłym ich bracie.

RODOLF.

To nie prawda, to fałsz!

BOGUMIŁ.

Tto święta prawda — na to tylko oczekiwał nasz brat Miłosz w Warszawie, aby dowiadywał się jak wasze sprawy tam stoją.

RODOLF.

Więc wszystko stracone i znowu bez mienia, bez przytulku.

ADOLF.

O nie Ojczy! tutaj w spokojnej siedzibie, odtąd będzie nasze schronienie; widzisz, że sam Bóg żąda jedności między nami.

AGNIESZKA.

Cóż to wszystko znaczy?

BOGUMIŁ.

Niewiasto! (biorąc jej rękę) podaj Rodolfowi dłoń swoją na znak przebaczenia, dziś nie jedno, ale dwoje pobłogosławisz dzieci; a ślubne gody, weselę obchodzić będziemy; co do was Rodolfie! widzicie sami, że cofnąć się nie podobna, pozostańcie z nami... stanowić będziemy jedną rodzinę — szczęśliwi! w pośród pracy i spokoju, w pośród dzieci naszych.

RODOLF.

Mój syn, on mnie nienawidzi!

ADOLF.

O nie ojcze! ja cię szanuję i kochać będę sercem syna; ale tu, mojej drugiej matce! podaj przyjazną rękę, zapomnijcie dawnych uraz.

RODOLF (*jedną ręką przyciska syna do piersi — drugą: podaje Agnieszce*).

AGNIESZKA.

Co do mnie; jeżeli tego żadasz, podaję rękę zgody (*wskazuje na grób*), oby on także ci przebaczył.

BOGUMIĘ.

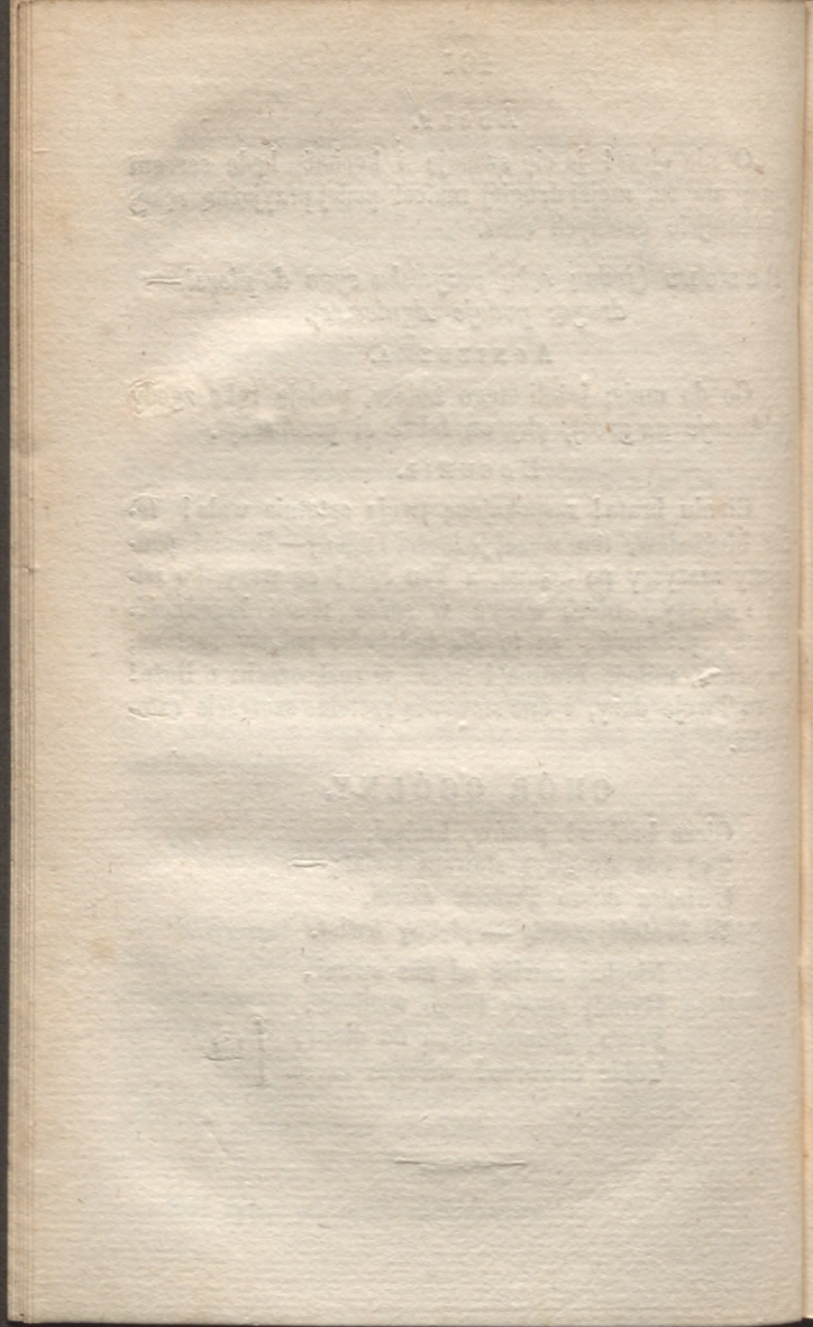
Cieniu brata! zaspokojoną twoja ostatnia wola! teraz błogosław, ten węzeł jedności i zgody—Bracia! padnijmy wszyscy na kolana, a Ten Bóg! co wszystko widzi i słyszy, niech wlewa w serca nasze łagodność. Duma, próżność, są to dla ludzkości pokusy szatana; ale praca, miłość bratnia i miara w roskoszach: o Boże! są to Twoje dary, i one stanowią rzetelne szczęście człowieka.

CHÓR OGÓLNY.

Ojcie królów! panów, kmieci,
Ty! coś stworzył słowem świat;—
Uwieńcz dusze Twoich dzieci,
W bratniej zgody — piękny kwiat.

Niechaj zawiść od nas stroni,
Hymny zgody błogo wzniesić,
Praca, jedność dłoń do dłoni,
Tobie Stwórco! wieczna cześć, { bis.





HRABIA I LISTY

KOMEDIJA

W JEDNYM AKCIE, ORYGINALNIE NAPISANA.

O S O B Y.

HRABIA SKALSKI.

JULIA JEJEGO ŻONA.

POGODZICKI AKTOR.

ONUFRY STARY MAZUR, zostający na
usługach Hrabiego.

Scena w dobrach hrabiego, o pół-tory mili od Wilna.

[Uwaga]. Pogodzicki mężczyzna lat przeszło 40-tu łysawy, — Onufry zupełnie siwy, jednakże nie zgrzybiałej starości, lat około 60; mówi akcentem mazurskim.

AKT PIĘRWSZY.

(Pokój Julij; po obu stronach gabinetu, z prawej okno — z lewej kominiek z płonącym żarzewiem; w środku drzwi — na stoliku przyrządzenia do herbaty samowar etc.... potrzeby do pisania, dzwonek: pora wieczorna).

SCENA I.

HRABIA I JULIA.

JULIA.

Edwardzie! rozpogodź chmurne czoło, mam wielką chętkę pojechać.

HRABIA.

A ja, nie mam najmniejszej ochoty, zezwolić na wyjazd Pani.

JULIA.

Pytanie: dla czego?

HRABIA.

Ponieważ, chcesz pani poznać prawdziwy powód,

odpowiadam wręcz: Oto dla tego, że obiegają smutne wieści grożące pani dobrej sławie.

JULIA.

I ty Edwardzie, więcej wierzysz pogłoskom — aniżeli żonie?

HRABIA.

Nie pani, ale chcąc nie chcąc muszę wierzyć własnym spostrzeżeniom i póki czas jeszcze, naprowadzić panią na dobrą drogę.

JULIA.

Powiedz mi przez litość! w czém błędę?

HRABIA.

Ha! kiedy mię zmuszasz, do wyrzeczenia smutnej prawdy, dowiedz się więc: że z powodu pani, dom mój utracą powagę przodków; stał się od niejakiemu czasu, zbiegowiskiem gminu; z każdym dniem, przybywa znajomość, która niweczy naszą hrabiowską godność. Zamiast starania się o przyjazne stosunki z damami wysokiego rodu; pani łączysz się przyjaźnią z lada szlachetką; która nie raczy nawet ucić cię przy należnym tytule: i kiedy ja, dzień i noc przemyślam nad sposobami wyniestenia się; pani nie wstydzisz się jechać do domu jakiegoś tam pani Zwiłskiej, aby grać komedją? prawdziwie pusty śmiech bierze, gdy roztrząsam Julio twoje postępowanie.

JULIA.

Skończyłeś: wysłuchaj że teraz mojej obrony; przysługasz mi zbyt dużą popularność, zły dobór przyjaciółek, jak gdyby przyjaźń, można była podciągnąć w regestr tytułów — przyjaźń, jest to interes ducha; a on mój przyjacielu! niema nic wspólnego z Heroldiją!

Wreszcie za przykład stawiasz mi panią Zwilską; kobietę czczigodną, szanowną matkę! kobietę bogatą we wszystkie przymioty zacnej obywatelki! ubogą tylko w dostatek i tytuły.

H R A B I A.

Co mnie tam, po j^{ej} wielkich przymiotach i rozumie: kiedy siedzi w długach po uszy, nie zaszczyca się żadnym tytułem — mąż jakiś dorobkowicz, niewiadomo nawet czy szlachec.

J U L I A.

Edwardzie! jestem przekonana, że inaczej myślisz, a inaczej mówisz.

H R A B I A.

Myśl jak ci się podoba; ale postanawiam stale wprowadzić się na inną drogę — chcę, abyś błyszczała w pierwszych domach naszego kraju; aby każdy miał sobie za szczęście, przyjaźnić się z naszym domem. Od dzisiaj, postanawiam sobie, urządzić wszystko na wyższą skalę; żyć tak; jak żyją mnie równi, jak żyli moi przodkowie.

J U L I A.

I popaść wdlugi, jak wielu innych.

H R A B I A.

Moja Pani — ja mam rozum i wiem co mi do szczęścia potrzebne.

J U L I A.

Ale nim to nastąpi, pozwól mi pojechać do pani Zwilskiej, przyrzekłam grać w j^{ej} amatorskim Teatrze, mam główną rolę.

H R A B I A.

A propos teatru — słyszałem, że panie bardzo protegujecie młodego aktora, jakiegoś... pana Leona.

JULIA:

Bo ten młodzieniec, istotnie zasługuje na to.

HRABIA.

I zapewne, ów pan Leon, podał plan ułożenia Teatru?

JULIA.

Zgadłeś mój przyjacielu.

HRABIA (z *wybuchem*).

A tego już nadto!

JULIA.

Ależ na Boga! co tobie Edwardzie?

HRABIA.

I pan Leon zapewne tam będzie?

JULIA.

Nie inaczej; a ponieważ teatr rozpocznie się dopiero po dwunastój i mamy sprawić pani Zwiłskiej niespodziankę: przeto w pierwój, zajedzie tu do nas — przy téj sposobności, będziesz miał przyjemność, poznać tego młodzieńca.

HRABIA.

A to już przechodzi granicę cierpliwości.

JULIA.

Mam nadzieję, że pojedziesz z nami razem.

HRABIA.

Ja pojechać do pani Zwiłskiej! ja Hrabia! jechać na pośmiewisko — w towarzystwie aktora, aby patrzeć jak moja żona będzie grać komedją — aby później mnie palcem wykazywano — mościa pani! tego już za wiele — ja tego chłystka! jeżeli poważy się tu zajechać; rozkażę psami wyszczuć.

JULIA,

Mężu!

HRABIA.

Pani! powtarzam raz jeszcze; że mam rozum i niedozwolę popełniać dziwactw — proszę zapomnieć o mieszczanice Zwilskiej, o komedij, i o aktorze! Proszę zawsze pamiętać o tém; że Hrabina Skalska, jest damą wysokiej godności, i nic nie może mieć wspólnego z gmi-nem.

JULIA.

Pan używasz przykrych wyrażeń — mogłabym po-mysłéć, że ci zazdrość dyktuje te słowa.

HRABIA.

Zazdrość! i któż to ma być jéj przedmiotem?

JULIA.

Jak mam rozumieć to pytanie?

HRABIA.

Podług mnie; zazdrość może tylko obudzić człowiek, wyższy od nas pod każdym względem; a zbyt mało ce-nił bym siebie, abym chciał stanąć na równi z owym panem Leonem.

S C E N A 2.

C I Ź I O N U F R Y,

O N U F R Y,

Proszę panienki!...

HRABIA (*porywczo*).

Czego chcesz? po co wchodzisz nie wołany.

ONUFRY.

At!...

JULIA.

Mój mężu, dla czego tak groźno; powstajesz na tego pocziwca.

HRABIA.

Pani w każdym zdarzeniu, zapominasz o swojej godności; wczoraj np. ten cham, wchodzi do salonu, w chwili kiedy przyjmowałem u siebie księcia...

JULIA.

Przebacz mi, to nie jego w tém była wina, ale moja; pozbawiona wiernych sług, używam Onufrego.

HRABIA.

Pani możesz mieć na swoje usługi szereg liberij, tego żądam: a jeżeli na teraz, dwór nasz jest z niej оголоcony, sobie proszę przypisać winę: Pani psujesz służących, przypuszczasz ich do występnej poufałości; u nas, służący nie wie sam jak mówić do panów,

JULIA (do Onufrego).

Przyjacielu odejdz!

ONUFRY.

Ja chciałem powiedzieć, że Śiergiěj już zaprzęga.

HRABIA.

Kto wydał ten rozkaz? idź i powiedz, żeby się nie ważył zaprzęgać — już późno — Jaśna Pani nigdzie nie pojedzie.

ONUFRY.

Kto taki proszę pana?

HRABIA.

Jaśna pani! rozumiesz; od dzisiaj jeżeli chcesz po-

zostawać w naszym domu, nie wolno ci inaczej mówić do pani, jak tylko: Jaśna pani.

ONUFRY.

At! jakiś nowe bdzurstwa... (odchodzi).

HRABIA.

Oto nowy przykład zasad pani — tak, tak postanowilem wziąć się szczerze, do poprawy obyczajów naszej służby; i dla tego po oddalałem wszystkich.

JULIA.

Prawda! zaledwie dobroć pana, raczyła mi pozostawie Onufrego!

HRABIA.

Ten człowiek jest także mi na przeszkodzie, i gdybym mógł; dziś jeszcze wypędziłbym go bez namysłu.

JULIA.

Pan byś się nie wahał, wypędzić z domu starca, który przez swoje zasługi, gorliwość i poświęcenie; okupił krwawo kęs chleba. O zgrozo! czy zapomniałeś Edwardzie? że ten człowiek, prawie wykołysał mię na swoim rękę; że trzydzieści lat, zostawał w usługach moich rodziców; że nakoniec: ciebie samego ratował od śmierci, nie pomnąc na własne życie; do dziś dnia nosi znamie nad ludzką odwagi; bo przepalona belka zgruchotała mu ramie.

HRABIA.

Bez moralów — bardzo proszę — ja nie powiadam, że Onufry nie ma prawa do naszej wdzięczności — ale powtarzam; że jego trywialna poufałość względem ciebie, staje się mi nieznośną; i to wieczne używanie wyrazów: Ty!... Juleczko.... panienko!! — nie żyjemy w wieku Patrijarchów.

JULIA.

Ah! Edwardzie! Edwardzie! zaczynam tracić wiarę w twój sercu; rok dopiero, jak jesteśmy po ślubie, ale uważam z każdym dniem; że twój humor się pogorsza; że najmniejsza przeciwność, oburza cię gwałtownie; nasze szczęście zbyt szybko uleciało: miałżebyś przestać mię kochać?

HRABIA.

Śmieszne pytanie?

JULIA.

Nie Edwardzie! ta jedna okoliczność i zatrwa mi życie; coraz bardziej stajesz się opryskliwym, wzdychasz tylko do urojonej wielkości — ten wyraz Arystokracja! — wiecznie u ciebie na ustach, w myśli, w sercu, (z uśmiechem) jużbym wołała, żebyś był zazdrośnym.

HRABIA (zimno).

Ja zazdrośnym!

JULIA (ns.).

Oh! mój Boże! czyliżby przestał mię kochać (*głośno z uśmiechem*). No Edwardzie! bądź weselszy, kiedy niebchcesz ażebym pojechała — zostanę w domu, masz słusność; już i tak dość późno — ale bądź łaskaw, przyjąć grzecznie Panie Leona; bo chociaż ten młody człowiek, nie jest magnatem; ale jako artysta z wielkim talentem, ma prawo do naszego szacunku.

HRABIA.

Moja Julio! proszę cię, nie nudź że mnie aktorami, mieszczańkami i całą tą klasą gminu,

JULIA.

Mój przyjacielu! wszakże przyjmować u siebie artystów jest zwyczajem przyjętym w Arystokracji.

HRABIA.

Tak, artystów, mających za sobą odgłos Europy! ale jednego prowincjonalnego aktora. — Gdyby to przynajmniej był jakiś cudzoziemiec, jaki Włoch; można by go raz przyjąć dla różnaitości — ale nasz rodak.

JULIA.

Ale ten rodak — ma wszystkie zalety cudzoziemskich artystów, talent szczytny, obejście uprzejme, młodość, wdzięk, i ukształcenie wyższych towarzystw.

HRABIA.

Brawo, pani Hrabino! uważam że....

JULIA.

Że zrobił silne wrażenie, wszak to? chciałeś powiedzieć.

HRABIA (ns).

Pierwszy raz słyszę ją mówiącą w ten sposób.

JULIA.

Gdybym ci powiedziała; że kocham to wszystko, co tylko jest zbliżone przynajmniej do Geniuszu.

HRABIA.

Exaltacja! Exageracja! Próznia nie mająca nazwiska.

JULIA.

Nie mój przyjacielu! przekonasz się sam; skoro poznasz tego młodzieńca, pogodzisz się z naszym teatrem i dozwolisz, aby Leon został przyjacielem naszego domu.

HRABIA.

Przyjacielem naszego domu! a to wybornie; aktor, przyjacielem domu Hrabiego, nareszcie zrozumiałem Exaltacją pani.

JULIA.

Panie!

HRABIA.

Pani! proszę zapomnieć o ludziach, z którymi nie wspólnego mieć nie możemy — proszę pamiętać, że nazwisko mojej małżonki, nakazuje pani zmienić sposób myślenia — Hrabina Skalska, nie może tak postępować jak myślała córka kupca Warszawskiego, który na handlu oparł swoje zasługi.

JULIA (*dotknięta*).

Pan zapomniałeś, że w dziedzinie handlu poczciwość pierwszą rękojmnią — nie rumieniem się więc, żem córką handlarza, kiedy ten handlarz spędził życie wśród mżolnej pracy, ale bez żadnej na honorze plamy. Jeżeli w tej chwili wstyd zarumienił twarz moją, przypisz to panie Hrabio boleśnemu uczuciu pogardzonej kobiety i dozwól córce handlarza, powrócić w nicość, z której dobroć twoja raczyła ją wynieść.

HRABIA.

Ah! jakże pani prędko się unosisz gniewem, za słowa prawdy; nie moja w tém wina, że nie masz pewnego taktu w postępowaniu i nie umiesz być Hrabinią.

JULIA.

Z boleścią serca, dostrzegam prawdę; powrócę więc do tego gminu, w którym byłam zrodzoną, nie dla mnie salony Hrabiów; nie dla mnie, Herby i tytuły.

HRABIA.

Julio! Ciebież to ja słyszę?

JULIA.

Już dosyć upokorzenia — Edwardzie! twoje serce za nadto pokryte żółtą blazką arystokracji — i nie może zrozumieć mojego.

HRABIA.

Jeżeli wszystkie małżeństwa zawarte w roku... tak są szczęśliwe jak nasze.

JULIA.

Widzisz sam, że rozwód jest potrzebnym.

HRABIA.

Rozwód! Separacja!... tego tylko brakowało, aby się wystawić na śmieszność.

JULIA.

Jakże obszerną przestrzeń, świat zaległ w sercu pana; dla świata, jesteś gotów; i moje i swoje szczęście poświęcić, lecz ja, więcej dbam o dobro pańskie i dziś jeszcze uwolnię go — Uwolnię Jego Hrabiowską mość; od widoku córki mieszczanina, córki jednego kupca. (*dzwoni*).

HRABIA (*porywczo*).

A ja prawem małżonka, zabraniam pani wyjechać, cały tydzień pozostaniemy w domu, zamknięci jak synogarlice. — O! ja pokażę co umiem — ja dam uczuć moją władzę.

S C E N A 3.

HRABIA JULIA ONUFRY,

ONUFRY.

Cóż tam znowu?...

JULIA.

Zaprzęgać do podróżnej karety.

HRABIA.

Co!?...

JULIA.

Słyszałeś co powiedziałam.

HRABIA.

Ani się waż!

ONUFRY.

Kaci wiedzą kogo słuchać.

JULIA.

Odejdź!

ONUFRY.

No, to rozumiem.

HRABIA.

Jeżeli kto poważy się zaprzęgać, to...

JULIA.

Śpiesz wypełnić mój rozkaz.

ONUFRY.

Ptfu! tu i sam djabeł nie będzie mądrym. *(odchodzi).*

HRABIA.

Pani myślisz odjechać! pani śmiesz mi stawić opo-
życiją?JULIA *(dźwoniąc).*Odjechać pragnę, i to natychmiast — w miłości, wie-
le można przebaczyć; ale nigdy pogardy i poniżenia.

HRABIA.

Rozwód! Rozwód! o ja odgadłem myśl pani — do-

myślami się co ją skłania do tego gorszącego kroku —
ale w pierwszej grób mnie pokryje, w pierwszej... (Julia
dzwoni gwałtownie) co pani czynisz?

S C E N A 4.

C I Ź I O N U F R Y.

ONUFRY.

Co tam znowu?

HRABIA.

Za drzwiami Onufry! za drzwiami!

ONUFRY.

W Imię Ojca i....

JULIA.

Czy kazałeś zaprzęgać?

ONUFRY.

Ale... kiedy... bo...

HRABIA.

Ja ci rozkazuję — ja tu pan.

JULIA.

Czy już zaprzężono?

ONUFRY.

Ale proszę pani, tu człek w głowę zachodzi,

JULIA.

Wyjeżdżamy, zaraz, natychmiast, rozumiesz!

ONUFRY.

Czy skaranie Bożkie! deszcz jak z cebra, ciemno
jak w garnku.

JULIA.

Ja tak chcę! ani słowa więcej.

ONUFRY.

Toć i dobrze (*chce odejść*).

HRABIA.

Ani krókiem.

ONUFRY.

Mily Boże!

JULIA.

A więc ja sama potrafię sobie usłużyć — bo córka mieszczanina — córka handlarza, nie powinna swym po-
bytem, kazić Hrabiowskich pokoi (*wybiega*).

S C E N A 5.

HRABIA I ONUFRY.

HRABIA.

Onufry! w głowie mi się zawraca, krew mi uderza.

ONUFRY.

O! Święta Maryjo!

HRABIA.

Podaj mi krzesło.

ONUFRY.

Panie! mój miluchny panie... (*podaje krzesło*).

HRABIA.

Ona mię opuszcza, przestała mnie kochać, zgaduje
przyczynę; ten aktor pozyskał jej serce — i ona tu o-
śmieli się przyjechać, ja go zamorduję!!

ONUFRY.

Moje złociste paniątko! uspokójta się...

HRABIA.

Pobiegnę za nią — puszczaj mię stary.

ONUFRY.

Gwałtu Reta! Czy złe dom nasz nawiedziło! czy co?

HRABIA.

Ah! ona mię nie kocha.

ONUFRY.

Et! Bajka, dziś jeszcze widziałem jak całowała pański portret.

HRABIA (*z radością*).

Mój portret!

ONUFRY.

A Jużcić — na własne widziałem oczy — uspokój się paniątko; zostań, a dużo rzeczy wygadam — bo domyślałem się...

HRABIA.

Mów stary — mów, czego się domyślasz — co wiesz — więc ten portret?

ONUFRY.

Był pańskim, boć go znam dobrze; całowała go serdecznie i tak doń prawila. Tylkoć ja to nie mogę, tak wrzekomo, akuratnie słów pozbierać.

HRABIA.

Mów jak chcesz, jak umiesz, tylko prędzěj.

ONUFRY.

Otóż mówiła: mój mąż dobre człeczysko, ale gorączka, dumny, ary... aryst...; kěj zabaczyłem,

HRABIA.

Arystokrata! tak powiedziała?

ONUFRY.

Wrzekomo: tak samo...

HRABIA.

Tak; jestem nim, ponieważ gmin jest to proch; a ten pył, co z tego prochu, w górę się wznosi; ośmiela się zagrażać mojej domowej spokojności, mojemu szczęściu. Co więc? — mówże!

ONUFRY.

Kiej nie śmiem gadać, Jegomość tak się zapyrzył— at! mówiła Juleczka jednego razu z płaczem; że trzeba będzie raz już skończyć te termedyje, odjechać; albo porządna dać Jegomości naukę.

HRABIA.

Niepamiętasz kiedy to postanowiła?

ONUFRY.

Zaraz... at! to wtedy, kiedy powróciliśmy z Wilna, kiedy to Jegomość, gniewałeś się na Julęczkę, za to: że zaprosiła na wieś jakiegoś — pana... akto...

HRABIA.

A! więc nie omyliłem się — moje domysły mnie nie zwodzą — ja nie znam tego człowieka; ale na samo o nim wspomnienie, krew mi do głowy uderza; aktor, komedjant! odważa się zakłócać moją spokojność — przekłęcie — i ona opusza mój dom, ona! tak dobra, łagodna... Onufry! biegni do folwarku, powiedz: Andrzejowi i innym; że jeżeli poważą się zaprzęgać, pooddaję ich w rekruty, że im karki poskręcą!

ONUFRY.

Dobrze panie (*chce odejść*).

HRABIA.

Czekaj! niech Jacek osiadła konia, pojedzie do Wilna. (*do siebie*) Bądź co bądź, postaram się oto; aby ten człowiek wyjechał z miasta. — A jeżeli poważy się aż tutaj przybyć, to każę go związać jak barana — i... Idź!.. czego stoisz?... zostań!... idź!... ale nie, zaczekaj — w głowę zachodzę... aktor! człowiek publiczności znany, wystawi mię na śmieszność w oczach świata; w czasie sejmików, wyborów, lub kontraktów; będą ze mnie szydzić; przeklącie! Otóż to zaraza wielkich miast i do zakopciałego Wilna się dostała.... Co nam djabli po teatrze! głód w kraju, a tu Teatr — komedjant idzie do Ressursy, komedjant wciska się do naszych towarzystw, tańczy z naszymi żonami...

ONUFRY (*wzdycha*).

Jeszcze tylko tego nie dostaje, aby i jego ubrano w modny fraczek i puszczono do salonu... Oświata! Oświata! niech przepadną wszyscy Kosmopolici. Filantropi — małpują Paryż.... ale co dobre w Paryżu, to nie w Wilnie.

ONUFRY.

Panie! ktoś zajechał...

HRABIA.

Może to on! (*bieży do okna*).

ONUFRY.

30-ci lat służyłem u Ojca naszej panienki, a nigdy nie bywało takich herezyi.

HRABIA.

Służyłeś mieszczukomi, wydrwigroszom! (*wybiega*).

S C E N A 6.

O N U F R Y (*sam*).

Mieszczukom, Wydrwigroszom!... mój Dobrodziejcu... niech tylko szlachcić, będzie tak pocziwym, jak nieboszczyk, Panie świeć nad jego duszą! a pewno Bóg pobłogosławi naszej ziemi... ptfu, że się powadził z żoną, to narusza jój Ojca w grobie! (*jakby do Hrabiego*). Toć się lepiej nie było żenić z mieszczanką, aniżeli teraz po niewczasie, fumy puszczać. (*po namyśle*). Ale prawdę powiedziawszy, to i moja panienska ma wybryki — chcieć odjeżdżać — to źle.

S C E N A 7.

J U L I A I O N U F R Y.

J U L I A.

Ah! to niktzemnie, to niegodziwie, tak postępować z ludźmi.

O N U F R Y.

At, bo i panienska głupstwa robisz; po co te swary?

J U L I A.

Onufry! mój przyjacielu, my musimy opuścić ten dom. Edward ubliża pamięci mojego ojca, i przestał kochać mnie.

O N U F R Y.

At, Brednie! mnie się widzi dla tego, że panienkę kocha; to takie wyrabia termedyje! on się złości na jakiegoś tam aktora.

J U L I A.

Jesteś tego pewnym? — mój Onufry! idź, ulagodź gniew Edwarda; on pozabija tych biednych ludzi.

ONUFRY.

Biegnę — tylko się pogódźta, moje paniątka!... bo to widzita... panowie się powadzą, a poddanym włosy trzeszczą *(odchodzi)*.

S C E N A 8.

JULIA *(sama)*.

Ah! gdybym mogła się przekonać, że nie utraciłam całkiem miłości Edwarda — gdyby Onufry odgadł prawdę: jakże byłabym szczęśliwą! Mój Boże! wymawia mi moje urodzenie; więc mnie nie kochał, tylko złoto, które wziął za mną w posagu; a ta korona Hrabiovska, którą ozdobił córkę kupca! chce, aby mi wszystko wynagrodziła?... Oh! Edwardzie, jakże mało znasz moje serce — mnie nie trzeba tytułów, mnie nie trzeba blasku; ale duszy, miłości! i gdybym mogła się przekonać, że jeszcze kochasz mnie; zapomnę wzgardy, poniżenia, zapomnę o wszystkim! — ale jak się przekonać — jak?.. *(słysząc tórkot, głosy pamieszane, szczekanie psów)*. Któs zajechał — Wielki Boże! to zapewnie Leon, w jakiejże chwili przybywa? nie mogę go przyjąć — ha! co za myśl — może przybywa, aby ustalić naszą spokojność. *(odchodzi do gabinetu na prawo i zamyka drzwi na klucz)*.

S C E N A 9.

POGODZICKI *wbiega pomieszany, szczekanie psów ściga go aż do drzwi — głosy za sceną: huzia ha! Neptun! Pluton! pyf!*)

A niech djabli porwą! takiego przyjęcia niespodziewałem się wcale, a to oszaleć można; szczują psami jak złodzieja, zaledwie z dążyłem umknąć. Gdzież ja

jestem? niema nikogo... A to mi przygoda prawdziwie artystyczna! zaręczam że Scribe, ani Delavigne, ani nasz korzeniowski nie wpadną na podobny pomysł: — Wyjeżdżam z Wilna zaraz po trzeci, w nadziei; że za pół-tory godziny, stanę tutaj; tymczasem Pan Dorożkarz pijany należycie, spada z kozła; pozostawiam go w pierwszój lepszej karczmie i jadę dalej, aż tu... ah Bogu chwała! ktoś przecie nadchodzi.

S C E N A 10.

POGODZICKI I HRABIA.

HRABIA (*groźnie*).

Po co przybywasz? czego chcesz!

POGODZICKI.

A to grzeczne powitanie — Panie Dobrodzieju ja!

HRABIA.

Przybywasz zakłócać spokój obywatelskiego domu?

POGODZICKI.

Ja? co się to ma znaczyć?

HRABIA.

To się znaczy mój Panie Leonie! że podobną zuchwłość drogo okupisz — powtarzam ci, drogo okupisz!
(*wychodzi i zamyka drzwi środkowe na klucz*).

POGODZICKI.

Zapozwoleniem! proszę pana — pozwól mi się wytłómaczyć — aj! co to jest? zamykają mię, jestem uwięziony! — może to dom podejrzany? jaskinia występku... jaki zaklęty zamek de Ronquerolle! żart żartem; ale trzeba myśleć o środkach wydostania się ztąd — znowu ktoś nadchodzi — może tym razem dowiem się.

SCENA II.

ONUFRY I POGODZICKI.

POGODZICKI.

Mój przyjacielu bądź łaskaw powiedzieć mi?...

ONUFRY (ns.)

Czy to czasem nie ów Jegomość, Pan aktor.

POGODZICKI.

Czegóż ten u diabła! tak się we mnie wpatruje?

ONUFRY.

Czy pan aktor?

POGODZICKI.

Tak jest.

ONUFRY.

Aktor, to niby komedijant?

POGODZICKI.

Niech i tak będzie — bylebyśmy się tylko mogli porozumieć...

ONUFRY.

A aści tu diabli przynieśli! czy co? a zmykaj że co żywo, jeżeli chcesz mieć całe kości, widziałem jak Jegomość cwałem pobiegł — Oj będzie źle — Dalibóg źle! (odchodzi śpiesznie drzwiami z lewej któremi wszedł).

POGODZICKI.

Do licha! to widzę na serjo nie żarty; mogłem się pomylić, może to nie jest dwór Pana Skalskiego? ja zaczę wołać na pomoc! — jeden mi grozi, drugi zastrasza — zamykają na klucz — (porywa dzwonek) ludzie, duchy, kto jest! niech mi przybywa na pomoc!

S C E N A 12.

POGODZICKI I JULIA (*wychodząc z prawej*).

JULIA (*z uśmiechem*).

Wzywaleś Pan Ducha zamku de Ronquerolle. Otóż jestem!

POGODZICKI,

Pani Dobrodziko! nie wiem z kim mam szczęście mówić, ale na miłość Bożką! racz mię wysłuchać — dozwól mi powiedzieć, kto jestem i po co przybywam.

JULIA.

Jako Duch Opiekuńczy tego domu; posiadam dar jaśno-widzenia! Pan jesteś Pogodzicki, Artysta Dramatyczny, a przybywasz tutaj; aby powrócić nam szczęście.

POGODZICKI.

Na honor! Pani, mogę uwierzyć; że w istocie mówię z Duchem opiekuńczym — na widok pani znikła obawa. Jestem w rzeczy samej Pogodzickim. A teraz, racz mi pani powiedzieć, czy rzeczywiście znajduję się w domu Pana Skalskiego?

JULIA,

Tak Panie!

POGODZICKI,

Taką rzeczą jestem już wolny od wszelkiej obawy, bo w istocie, przynoszę szczęście!

JULIA,

Niewiem co pan chcesz przez to powiedzieć: ale dla mnie w tej chwili obecność pańska, jest nie nieprzewidzianem szczęściem! — siadaj Pan — bardzo proszę!

POGODZICKI (*ns.*)

No, to rozumiem, ale tam ci dwaj...

JULIA (*ns.*)

Edward jest za oknem, wybora mam sposobność wyprobowania jego serca, a potem uśmieję się ze zazdrośnika. (*głośno*) Drogi Panie Leonie! zapewne przeziąłeś, czy nie pozwolisz szklaneczkę herbaty?

POGODZICKI.

Pani Dob: nazywam się Pogodzicki Józef.

JULIA.

Ciszéj! na ten raz musisz być Leonem. (*nalewa herbatę*).

POGODZICKI.

Ale wiadomo Pani...

JULIA (*cicho*).

Znam pański sposób myślenia, znam cię lepiej, aniżeli sądzisz; pokładam więc w panu zaufanie! porozumieliśmy się...

POGODZICKI.

A, tak, porozumieliśmy się. (*ns.*) Niech mię licha porwie! jeżeli choć słowo rozumiem.

JULIA.

Może sucharków? (*ciszéj*) przysuń się pan bliżéj.

POGODZICKI.

Bardzo dziękuję!... (*ns.*) Nie, nie, tu zakrawa na jakąś intrygę.

JULIA.

Czy zaraz z południa wyjechałeś z miasta?

POGODZICKI.

Ah! Pani Dobrod: podróż moja obfita w wypadki, od dawna miałem zamiar odwiedzić Pana Skalskiego, gdy na szczęście mój młody kolega Leon, ale...

JULIA (*cicho*).

Nie zapominaj że sam nim jesteś.

POGODZICKI.

Ten tedy Leon... to jest ja!.. (*ns.*) Na honor! czego ta kobieta chce ode mnie?

JULIA.

Mów Pan śmiało.

POGODZICKI.

Tedy... dowiedziawszy się, że Pan Skalski mieszka nie daleko od Wilna, a mając bardzo pilny interes: przedsięwziąłem przyjechać z Leonem — wszakże mam szczęście mówić z panią domu? (*Julia potwierdza*).

JULIA.

Mów pan ciszej.

POGODZICKI.

Bardzo dobrze Pani Dobrod: (*cichszym głosem*). O-tóż: Leona zatrzymał pilny interes, ja najmuje pierwszą lepszą dorózkę i jadę sam: w drodze dorózkarz dobrze podchmielony, zasypia w karczmie; a ja, na los szczęścia błędę po dróżynach — deszcz leje potokiem, zmęczony konik ledwie dyszy, jednakże śmiało brniemy dalej; nakoniec przybywam tutaj, i na samym wstępie szczują mię psami; umykam do tego pokoju, i na nową wystawiam się biedę: zamykają, grożą! straszą!

JULIA.

Mów pan ciszej bardzo proszę — a, co za interes, zmuszu pana, wystawiać się na tyle nieprzyjemności?

POGODZICKI.

Interes tak naglący, tak zapewniający spokojność męża pani; że nie powinieniem, ani chwili się opóźniać;

jednym słowem, mogę śmiało powiedzieć: przynoszę Państwu szczęście.

JULIA (*przysuwając się*).

A gdyby Pan Skalski będąc w złym humorze, nie chciał Pana wysłuchać?

POGODZICKI.

Nie lękam się tego, jedno moje słowo, zmieni go w baranka.

JULIA (*z postanowieniem*).

Ha! zobaczymy, probójmy! (*ns.*) mogę mu zaufać, jest znanym ze swojej uczciwości.

POGODZICKI.

Teraz Pani Dobr: niech mi raczy powiedzieć, z kąd mam szczęście być jej znanym?

JULIA.

O! kto Pana raz ujrzy na scenie, kto umie ocenić jego wzniosły talent, nie zapomni Pana nigdy. (*ns.*) Edward otworzył okno, wybornie!

POGODZICKI.

Zbytek łaski pani; (*ns.*) miła kobieta!

JULIA.

Ale siedziemy tak daleko — przysuń się Pan bliżej.

POGODZICKI.

Pani! (*ns.*) Do licha! co ona zamierza?

JULIA.

No, czyliż potrzebuje powtarzać.

POGODZICKI.

Wezwanie bardzo przyjemne — ależ?...

JULIA.

Może Pana przestraszam — może obawiasz się?

POGODZICKI.

Ja! o nie Pani.

JULIA.

Proszę do mnie mówić po prostu: Julio — gdyż od-
tąd do ciebie należę.

POGODZICKI.

A do djabła! coraz to lepiej. (*ns.*) Uważam że gra-
my komedją, ale mniejsza z tćm, potrafić utrzymać się
w charakterze. (*głośno*) Tak tedy piękna Julio!... (*ns.*)
niech mi się zdaje, że odgrywam rolę kochanka, jak wów-
czas kiedy miałem lat 20-cia. (*przysuwając się*) Co to
pulchna rączka!

JULIA (*uśmiechając się*).

Wyjedziemy jutro; daleko ztąd, w inne świata strony.

POGODZICKI.

Mamy wyjechać?

JULIA.

To nie podpada wątpliwości — pod przybranćm imie-
niem ukazć się na scenie — ah! być artystką, co to za
chluba! oklaski, krzyki, sława! to wszystko pory-
wa duszę; unosi nas w krainę zapomnienia. — O! co to
za roszkosz; ożywiać utwory autora, przenosić publicz-
ność w inny świat; albo z grobu wygrzebywać zimne
popioły, aby ożywić je silnćm tchem swojej duszy; aby
nakazać wiarę zgromadzonemu tłumowi: że ja! nie je-
stem sobą: ale to Hedwiga! Lodoiska! Chrzanowska! stoi
przed wami...

POGODZICKI (*zapominając się*).

Ah! tak, tak, a ten tłum z rozwartemi usty, podziwia zmarłe cnoty; karleje przy obrazie wielkości Ryszardów! Zygmunatów! Tęczyńskich! Żółkiewskich! — Drży na wspomnienie bezprawców, lub płacze nad niedolą i uciskiem niewinnego; a to wszystko, sprawia pierś nasza krew, przelewa się w żyły zmarłych cieni. One nami, przemawiają do ducha potomności! my, i oni; stanowimy w tejże chwili jedną całość, a potem... (*jakby zawstydzony*) ta kobieta podnosi mój umysł.

JULIA.

Dalej, dalej artysto, pojmujący swoją sztukę, cóż potem?

POGODZICKI.

Potem, — jesteśmy znowu na świecicie, przy szklance herbaty, obok pięknej Juli; i mówimy jej... że mąż nie musi być ztąd daleko.

JULIA.

O nie, Pan mnie nie rozumiesz; czy nie przeczuwasz duszy artystycznej, czy nie widzisz tego zapału, który mię ogarnia na samą myśl o wielkości sztuki? — ja nie z potrzeby, ale z powołania, pragnę się rzucić w tę przepaść złudzenia; aby czuć, myśleć, oddychać, życiem artysty!

POGODZICKI.

Dobrze, dobrze! (*znowu zapominając się*) nam potrzeba ognia młodej duszy — publiczność to kamień, bryła lodu: a chcąc rozpalić ten kamień, lub zmiękczyć tę bryłę, silnie pierś własną potrzeba rozżarzyć, myśl natężyć, krew wzburzyć; a wtedy iskra elektryczna przebieży z serca w serce, wtedy...

JULIA.

A miłości uczucie?...

POGODZICKI (*w zapale*).

Ono steruje światem! a my w zapomnieniu; chwytamy przysposobiony ideał ubóstwianej kobiety, okraszamy go wdziękiem złudzenia, i czy to jak matkę, córkę żonę, lub kochankę przyciskamy do piersi, bijącej złudzeniem.

SCENA 13.

CIŻ I ONUFRY (*wbiega*).

ONUFRY.

Jegomość stał pod oknem, i wszystko słyszał; uciekajta! uciekajta.

JULIA.

Nie lękaj się niczego; zostań z nami.

ONUFRY.

Aj! co się dzieje! co się dzieje!

SCENA 14.

HRABIA, JULIA, POGODZICKI I ONUFRY.

HRABIA (*do Onufrego spokojnie*).

Co? czy i ty należałeś do zмовy, do komedii na prędce ułożonej — precz! wypędzam cię ze służby.

JULIA (*z uśmiechem*).

A więc domyśliłeś się, że ten pan nie jest Leonem?

HRABIA.

Wyznaję, w pierwszej chwili zazdrość mną powodowała...

JULIA (ns.)

Więc mnie jeszcze kocha.

HRABIA.

A teraz, gniew i oburzenie zajęły jej miejsce — Pani pierwszemu lepszemu włóczędze, powierzasz nasze kłopoty.

POGODZICKI.

Panie!

JULIA.

Mężu!

HRABIA.

Wiém co mówię: a Waćpanu nakazuję milczenie o całym wypadku; albo doznasz skutków mojego gniewu.

POGODZICKI.

O! Panie Skalski, to bardzo arbitralny rozkaz.

HRABIA.

Jestem Hrabią, i nic wspólnego nie mam z gminem; a kiedy moja żona zapomina, że jest Hrabinią, że podobny żarcik z jednym komedjantem, może wystawić nas na śmieszność...

JULIA.

Edwardzie! uspokój się; ten pan nie zechce, mizerną ploteczką ani nas, ani siebie poniżyć.

HRABIA.

Nakoniec czego ten człowiek chce? po co przybywa?

JULIA.

Edwardzie! zapominasz się.

H R A B I A.

Tak jest zapominam się, również jak i Pani — oboje zapominamy co winniśmy naszym przodkom.

J U L I A.

Mój ojciec był tylko handlarzem.

H R A B I A.

Gniew mię ogarnia — przymuszać mię rumienić się w obec tego człowieka.

J U L I A.

Rumienić się?

H R A B I A.

Tak jest, rumienić się; że powodowany miłością, zapomniałem co winienem mojemu urodzeniu, mojej godności, i zniżyłem się aż do córki jednego kupca.

O N U F R Y.

At! Jegomość głupstwa gada.

H R A B I A.

Co! i ty gburze śmiesz się odzywać?

O N U F R Y.

A śmiem, bo Jaśny Pan naruszasz kości zmarłego mojego Pana; a on chociaż kramarzył pieprzem, miał wiele cnoty, a rozumu więcej od nas wszystkich.

H R A B I A (*w gniewie porywając Onufrego za rękę*).

Precz stary, za drzwi! precz, (*po chwili, jakby zawstydzony swoją porywcznością, siada w milczeniu*).

O N U F R Y (*rzewnie*).

Jaśny Panie! wybacz mi, alem ja Mazur i gorąco mi się w ślepiach robi, gdy krzywdzą mego Dobrodzie-

ja! on szlachcic, czy nie, zawždy miał serce szlachetne. Nigdy nieskrzywdził nikogo, a według Boga i ludzi! toć podobno na tém cnota się gruntuje. — Niech mi Jaśny Pan przebaczy, może za wiele powiedziałem; ale chłop Mazur, zawždy szczéry w sercu i w mowie, nie umie słów owijać w bawelnę — widzita panie! włos mój siwy, gęba pomarszczona, i zęby się wyjadły — a jak mi Bóg Bogiem! jak pragnę szczęścia przy skonaniu! tak po raz pierwszy w mojem życiu, wypędzają mię za drzwi; po raz pierwszy taka krzywda mnie spotyka. — (*do Julii*) Nie płacz Juleczko! Jegomość patrzy tam z góry, i cieszy się, że stary jego sługa ucierpiał broniąc jego imienia, (*do Hrabiego całując go w rękę*), Bywajta zdrowi Jaśny Panie! już go więcej nie rozgniewam, i pójdę złożyć moje stare kości gdzie indziej; bliżej mogiły dawnego Dobrodzieja.

JULIA.

Czekaj Onufry! idziemy razem.

HRABIA.

Przebaczcie mi! uniosłem się zbyt mocno. (*wskazując na Pogodzickiego*) Ale to ten człowiek temu winien, czego on chce, po co przybywa?

POGODZICKI.

Za pozwoleniem! gniew męża Pani, do mnie tylko samego jest zwróconym — wszak sam to powiedział — a więc...

JULIA.

Racz mi Pan przebaczyć — sądziłam, że nasza domowa sprzeczka, zakończy się żartem — gdy tym czasem naraziłam Pana na nieprzyjemność.

POGODZICKI.

Któżby mógł gniewać się na Panią — mówię szczer-

rze, że żadna kobieta, nie wzbudziła we mnie tyle czci i szacunku ile Pani; dla tego też pragnę pomścić się i za siebie i za panią.

HRABIA (*pogardliwie*).

Pan!

POGODZICKI.

Tak panie, ja! — i to w sposób jaki sam obrać zechcę (*do Julii*). Bądź pani łaskawą na chwilę tylko pozostawić nas samych.

JULIA (*niespokojnie*).

Panie!

POGODZICKI.

O bądź pani spokojną; szron już ubielił moje włosy, i zimna rozważa zajęła miejsce młodzieńczych wybuchów. (*z uśmiechem*) Aktor, komedjant, jak się temu Panu podobało mię nazwać; nie dozwoli, aby żart zakończył się dramatem.

JULIA.

Ufam panu zupełnie — chodźmy Onufry. (*odchodzą do gabinetu*).

SCENA 15.

HRABIA I POGODZICKI.

POGODZICKI.

Panie Skalski! masz Anioła, nie kobietę.

HRABIA.

Nie o to tu idzie — ale teraz kiedy jesteście sami, zapowiadam Waćpanu, że mi przyrzecz musisz milczenie, o tém wszystkiem coś tu widział i słyszał; albo cię ztąd zdrowym nie wypuszczę.

P O G O D Z I C K I.

A gdybym ja powiedział ci Panie Skalski, że twój ton wyniosły, nie podoba się mnie aktorowi! i że od téj chwili, postanowiłem Pana upokorzyć.

H R A B I A.

Hoła! ludzi, ludzi!

P O G O D Z I C K I (*spokojnie*).

Ludzi! to byłoby zbyt celnym: (*mocniej*) Panie Skalski.

H R A B I A.

Jestem Hrabią!

P O G O D Z I C K I.

Ja Pana, po prostu, nazywam Panem Skalskim, i nic więcej — ale bez gniewu...

H R A B I A.

Waćpan mnie niemożesz zaprzeczyć godności, przyznanej przez Heroldiją.

P O G O D Z I C K I.

Zaprzeczam.

H R A B I A.

A ja, nie mam potrzeby usprawiedliwiać się, przed jakimś włóczęgą.

P O G O D Z I C K I.

A gdyby ten włóczęga, był wstanie strącić cię, ze szczytu twojej wielkości?... co natenczas byś powiedział Panie Hrabrio?

H R A B I A.

Co mówisz?

POGODZICKI (*ukazując pugilares z rodzaju portfejlów.*)

Czy Pan poznajesz ten pugilares.

HRABIA.

Nieba!

POGODZICKI.

Ten pugilares jest Pańską własnością — znalazłem go w Warszawie, na bruku Miodowej ulicy — w listach w nim zawartych spoczywa honor Waćpana. Przez próżność, zniżyłeś się aż do oszustwa; a komedjant Pogodzicki szanując słabość nieznanego człowieka, ukrył starannie dowody poniżenia i nikt więcej oprócz mnie, Pana, i pewnego.... nie widział tych papierów.

HRABIA.

Panie! to nie moje papiéry.

POGODZICKI.

Pan zaprzeczasz jasnemu dowodowi (*wyjmując list z pugilaresu*) proszę posłuchać (*czyta*) Panie!...

HRABIA (*z trwogą*).

Ciszej!...

POGODZICKI.

Dobrze; przeczytam tylko mały ustęp. (*czyta*) Ofiaruję mu 8 tysięcy zlot. pols. z posagu mojej przyszłej żony; za....

P. SKAŁSKI.

Dosyć, przez litość, dosyć...

POGODZICKI.

Ażeby pozyskać tytuł Hrabiego, którego używać nie masz prawa, posunąłeś się aż do szalbierstwa!... tu są układy, sposoby, i cały brud jakim dla dogodze-

nia próżności, pokryłeś się Panie Skalski! a teraz, pytam Pana: czyli nie słusznie powiedziałem, że w moim ręku twój honor, bo gdyby ten znieważony komejdant, wręczył te papiery Zwierzchności.

P. SKALSKI.

Ah! przez litość! żądaj jakiej chcesz nagrody!

POGODZICKI.

Nagrody! prawdziwie nie gniewać, ale śmiać się muszę: na co wspominać masz o zapłacie, kiedy możesz gwałtem, odebrać te przekłete papiery; one mogą cię znowu wtrącić pomiędzy ludzi gminu, którym tak urągasz. No, dalej, jesteś w swoim mieszkaniu, noc do koła; przywołaj ludzi, patrz, ja stoję bezbronny.

SKALSKI.

Czyliż do tego stopnia, sądzisz mnie nikczemnym?

POGODZICKI.

O nie, ja chcę wierzyć, że serce Pana dało się tylko obłąkać próżności; gdybym inaczej myślał, możesz Pan być pewnym, że nienarządzając się na żadną odpowiedzialność, za pomocą tych papierów, mógłbym dostateczną pozyskać zemstę — jednakże, wolę zakończyć nasz interes w sposób godniejszy i.... patrz (*rzucając papiery do kominka*) zemstę moją, powierzam płomieniom twojego ogniska.

SKALSKI.

Przyjacielu! należy ci się wdzięczność bez granic, utrata tych papierów, nie jedną noc zatrula mi bezsennością; od owego nieszczęsnego dnia, stałem się kapryśnym, dziwakiem, a nikomu nie poważylem się odkryć powodu mojej niespokojności.

POGODZICKI.

Panie Hrabio! nie zapominaj się, mówisz: do biednego artysty komedjanta jak sobie pozwoliłeś mię nazwać.

SKALSKI.

Zasłużyłem na szyderstwo, wiem o tém — ale bądź wspaniałym do końca; przebacz mi! (*Pogodzicki podaje mu rękę*), więc jedynie dla oddania mi tych papierów tutaj przybyłeś?

POGODZICKI.

Tak, jedynie dla tego; bo wiedziałem, że powrót ich zapewni pańską spokojność. Byłbym nawet udał, że nie wiem co w sobie ten pugilares zawiera; ale postępowanie Pana, zmusiło mię odmienić zamiar.

SKALSKI.

Prawda, byłem szaleńcem, przyznaję się do winy; zazdrość, próżność opanowały mi głowę i...

POGODZICKI.

Zazdrość, domyślałem się jéj; wzbudził ją mój młody kolega Leon; ale kto taką posiada żonę, jaką Niebo pana obdarzyło; nie potrzebuje się obawiać Leonów całego świata — próżność, to Pan źle pojąłeś swoje stanowisko — prawdziwy Hrabia, Pan możny z dziada, pradziada działa otwarcie; czy on będzie przestawał z chłopem, z artystą, czy z równym sobą, zawsze każdy przyzna, że to Pan szlachetny! a gmin, uwielbiać będzie jego popularność, i szanować jak świętość jego osobę — tylko ci, ludzie, którzy podejściem lub przypadkiem doszli do wielkości zadzierają głowy; i od tego samego pyłu, z którego się wznoszą, bywają z urąganiem wymiani.

SKALSKI.

Ab tak, tak, to słowa szczerój prawdy.

POGODZICKI.

Dzięki ci, żeś mię zrozumiał — zdrowy rozsądek nie dozwoli Panu, długo zostawać w letargu. — Zapatrując się z rzetelnój strony na czynność obywatela poznasz: że arystokracija od wielu źle jest rozumianą, że nie dosyć posiadać tytuły i być milionerem, aby na cześć zasłużyć, ale potrzeba zwrócić myśl swoją na ogół. Arystokracija do dobra ogółu zwrócona; we współ-ubieganiu się, wyda się prawdziwie piękną! Do tego celu, niech zmierzają dążność Panów naszych; bo tu punkt, starcia się wyrobionych idei. Jeżeli możny Pan zapomni: że w swoim narodzie, powinien wspierać każdy promyk talentu — biedny artysta! zapomni swoich odowiazków, w błocie zagrzebie siłę Geniuszu, a potomność zawoła — „O jak lichą była kraina! jak nizecznym czas! w którym tak mało zabłysło dobra dla ludzkości! dla sztuki! — (do wchodzącój Julii) W samą porę Pani przybywasz, już załatwiliśmy nasz interes.

SCENA 16 i ostatnia.

P. SKALSKI, JULIA, POGODZICKI I ONUFRY (z winiątkiem pod pachą).

SKALSKI.

O Boże! Julia, zapewne słyszała naszą rozmowę.

JULIA.

A gdybym też i słyszała? czyliż w tém byłoby co gorszącego; mój przyjacielu! powinniśmy wspólnie złożyć dzięki Panu Pogodzickiemu, bo twój honor jest moim.

SKALSKI.

Tak, i dzięki temu zacnemu człowiekowi, mój honor ocalony! ale ty Julio, czy przebaczasz mi?

JULIA.

Bądź szerszym, kochaj mię — a błogosławieństwo mojego czcigodnego Ojca zostanie spełnioném; przekonasz się że twoja Julia, i bez tytułu Hrabiego kochać cię może.

ONUFRY.

Więc już nie pojedziewa!!

SKALSKI.

I ty stary przebac mi — przepraszam cię za moją porywczosć!...

ONUFRY.

O mój miły Boże! Kochajta się tylko dziatki — ja stary więcćj niczego nie chcę — a ten Pan komedjant?...

SKALSKI.

Jest odtąd moim najlepszym przyjacielem. — Uprzedzenie znika pod wpływem rozsądku — a jeżeli kiedy jaki cień, źle zrozumianej próżności; odbije się na tle naszego pożycia. Julio! przypomnij mi dzisiejszy wieczór — i Pana Pogodzickiego.

K O N I E C .

443313